

# odąkosy



Nr 10 (314)  
8. III. 1964 R.  
CENA 1 ZŁ

TYGODNIK

ROK VII

W numerze: **Rozmowa z Seweryną Szmaglewską** • **Od Malwiny po Hysteryczkę** • **Szansa na życie** • **Telimena o modzie paryskiej** • **Jak być cesarzową Poppeą?** • **Gwiazdy patrzają na nas** • **Recenzje** • **Felietony**

Stanisław Kaszyński

## KOBIETA W TEATRZE

Tak się wydaje jakby była w nim zaw sze, od zarania sceny, że czarem swoim i wdziękiem, zmysłowością ciała, gracją ruchów i wykwindnością szat wchodziła od wieków w drażniące sny, wyostrzała imaginację poetów i malarzy, darzyła złudzeniami jaśniejszych wymiarów tych wszystkich, którzy odczuwali niedostatek egzystencji. Ale tak tylko się wydaje. Jej kariera sceniczna zaczęła się później, jej wejście na deskę, nastąpiło po mężczyźnie. Dysponując nie tyle przywilejem płci, która niegdyś nie znaczyła zbyt wiele, ani też pozycją społeczną, o co przyszło jej długo i mozolnie walczyć, zdobywała powoli szczyble swej błyskotliwej sławy.

Na początku była Grecja. Tutaj właśnie z obrzędów i rytuałów ku czci bóstw i bogów rodził się pierwszy teatr. Lecz kobiety najprawdopodobniej nie znał. I nie tylko dlatego, że nie powinna była według ówczesnych obyczajów opuszczać ogniska domowego. Warunki, jakim musiałaby sprostać, przerastały jej możliwości fizyczne: teatry budowano w olbrzymiej otwartej przestrzeni, od orchestry, gdzie stał chór, a potem od sceny, na której występował aktorzy, aż po ostatnie rzędy amfiteatru-widowni było kilkaset metrów. Trzeba było mieć nie lada donośny głos, aby przekazać na taką odległość słowo poety, pamięć mieć fenomenalną (obywano się bez suflera) i zadziwiająco kondycyjną, potrzebną do wykonywania wielogodzinnych popisów choreo-graficznych.

Rzym, przejmujący z dobrodziejstwem inwentarza dorobek wyobraźni i myśli greckiej, nie wprowadził również kobiety. Niechętnie widziano ją nawet i na widowni. Z biegiem czasu, pod koniec republiki, zyskuje jednak coraz większe względy. Na scenie staje się z wolna faworytka, lecz na razie tylko ze względu na sztukę tańca, albowiem przez długi okres jedynie taniec jest domeną jej sztuki i władzy. Uświetnia np. takie uroczystości jak Floralia, mknąc w obrzędowych korowodach bez nadatków gar deroby, w lśniącym polyskiem oliwy skór ze pramalki Ewy. Tolerowały to władze, podobno Katon miał opuścić łóżko, gdy spostrzegł, iż publika nie ma odwagi domagać się... strip-teasu tancerki — o tempora, o mores — zatem wolno mniemać, że tamtejsze nadobne służki Terpsychory nie rekrutowały się bynajmniej z dziewic. Więc swawolny Rzym doko-

nuje niejako „rehabilitacji“ kobiety teatru, tego, co w wiekach późniejszych będzie już zwykłym zwyczajem: aktorka jest przyjaciółką, metresa, czasem konkubina potentatów świata, obsypuje się ją bogactwami, schlebia i podziwia. W jednym z listów pisze Cycero o pięknej Dionizji, która zarabiała rocznie 200.000 systerji, urodziwa Cyteris jest kochanką Marka Antoniusza, jedna z aktorek wspięła się nawet na paluszkach do tronu, a podziwiana przez wielkich i małych Pelagia została z czasem podniesiona, naturalnie po odpowiedniej pokucie, do godności świętej Kościoła. Z tych czasów i aktorzy mają patrona: to histrión Genesius nawrócił się na chrześcijaństwo, umarł śmiercią męczeńską w okresie prześladowań Dioklecjana. Starożytni kronikarze i pisarze nie wyrażają się pochlebnie o ludziach teatru. Mimo uznania i sympatii, pomimo rozdawanych zaszczytów i godności, prawo ówczesne przyznawało ludziom teatru (prawda, w znacznym procencie byli to niewolnicy) najniższe miejsce w społeczeństwie. Aktorka pozostawała przez wieki synonimem kurtyzany czy kuplerki; zważywszy na jej pikantne czynności, dekrety określały materię chyba trafnie. Teodozjusz podobnie jak Justynian ma dla aktorek obelżywe epitety; zabrania się senatorom i ich męskiej progeniturze wstępowania w związki małżeńskie z aktorami i ich córkami.

Aktorstwo i teatr tracą okrucy przywilejów, w coraz silniejszym stopniu stają się przedmiotem oskarżeń o niemoralność lub też o nawrót do praktyk pogańskich. Celują w tym Ojcowie Kościoła, ich niektóre zarzuty są jednak rzeczywistością nie do odparcia. Np. kodeks Justyniana wyodrębnia specjalny paragraf, w którym opisuje się syryjskie wi dowsko wodne, zwane majuma. Polegało ono na tym, że zespół absolutnie rozbranych dziewcząt odprowadzał na tafli basenu in coram publico cykl wizualnych bacchanalii. Praworzec to chyba XX-wiecznych filmików pornograficznych, made in West. W ogóle Kościół, zwłaszcza Kościół katolicki, nie uznawał teatru, widząc w nim przybytek zepsucia, narzędzie szatana. Tak było aż do końca XVIII wieku (głównym rozsądkiem zła

dalszy ciąg na str. 6



rys. Pablo Picasso

Tobie grają wszystkie instrumenty,  
ciebie wiały na ziemię z nieba  
i ku oczom twym po ścieżkach  
idę w dzień i w noc, o pani Wenus.

Bo ty jesteś ta, która w nas  
mieszka  
i prowadzi nas jak marsz weselny;  
bo ty jesteś śpiewająca ścieżka,  
krzyk ostatni i zachwyt śmiertelny.

K. I. GALCZYŃSKI

## KATELIKUS BĄBOL KOBIETO JAKA JESTEŚ?

A może odwrócić tradycyjny porządek rzeczy? Może w dniu 8 Marca, nie my kobietom (żonom, matkom, córkom, sympatiom i znajomym) złożyć prezenty, tylko one nam?

Mam na myśli książkę, która uka zała się niedawno, a którą powinni natychmiast wziąć do ręki:

♦ mężowie nie doceniający pracy w domu;

♦ dzieci, zadręczające swe matki i przysparzające im kłopotów;

♦ radcy zakładowi, mężowie zaufania i działacze związkowi w fabrykach, handlu, instytucjach i urzędach;

♦ działaczki Ligi Kobiet, którym Troska o Kobiety spędza sen z oczu.

Magdalena Sokółowska, autorka książki „Kobieta pracująca“ otwiera nam oczy na sprawy i rzeczy dotychczas nieomal niedostrzegalne, a jakże doniosłe.

Dane dotyczące kobiety zatrudnionej w przemyśle włókienniczym czynią książkę wydarzeniem

bliskim Łodzi, różnorodność danych o kobiecie pracującej w innych zawodach, miastach i krajach czyni z niej encyklopedię wiedzy o współczesnej kobiecie.

Przed wszystkim pozwala ta książka zwalczyć pewne mity odnoszące się i do sytuacji kobiety — włókienniczki i do kobiety pracującej w ogóle. A więc najpierw mit o tym, że zawodowa praca kobiety wpływa hamująco na funkcje rozrodcze organizmu.

Okazuje się również, że włókienniczki rodzą tak samo często jak kobiety pracujące w innych zawodach, a potwierdzają to żmudne badania przeprowadzone kilka lat temu w wielkich zakładach przemysłu bawełnianego w Łodzi. Co jednak wykazały badania włókienniczek bezpotnie — to niższy poziom hemoglobiny we krwi, niższy niż np. u kobiet wiejskich. Ale zależy to od wielkości obowiązków: i domowych, i związanych z pracą zarobkową.

Naukowcy w USA doszli do wniosku, że nie można mówić o

ujemnym wpływie pracy zarobkowej na zdrowie kobiety, stan zdrowia kobiety pracującej i niepracującej w zasadzie jest zawsze gorszy niż mężczyzn. Z drugiej strony lekarze amerykańscy doszli do wniosku, że stan zdrowia kobiety pracującej jest lepszy niż kobiety pozostającej w domu.

Może tym również należałoby tłumaczyć wielką falę, której świadkami jesteśmy w ostatnich latach i w USA i w Europie zachodniej: kobiety masowo szukają pracy zarobkowej. Ten pęd poddyktowany jest pragnieniem zwiększenia rodzinnych dochodów, ale i dążeniem do pełnego wyzwolenia się z tradycyjnego kręgu zajęć dotychczas uznawanych za „kobiece“.

Badania w fabryce włókienniczej w Łodzi (m. in. ginekologiczne) — przeprowadzała dr Komorowska i stwierdziła, że na 1000 kobiet zbadanych aż 690 objawiało zmiany chorobowe, przy czym procent ten wzrastał do 85 u kobiet, które rodziły, oraz że dole-

gliwości ginekologiczne występują najczęściej u kobiet w wieku od 20 do 49 lat a więc w okresie największej płodności.

No, ale specjaliści starali się problemy naświetlić jeszcze dokładniej. Zainteresowano się np. absencją. Po badaniach ginekologicznych w fabryce absencja nagle wzrosła... dwukrotnie! Dlaczego? Bo dopiero lekarze odkryli schorzenia i dolegliwości, z którymi setki kobiet chodziło, pracowało i żyło — nic o nich nie wiedząc. Jak stwierdził prof. dr Krzysztoporski — kobiety w ogóle nie wyciągają żadnych wniosków z bólów nóg, krzyża i stawów, a przecież są to często objawy powodowane przez niewłaściwe funkcjonowanie organów rozrodczych. A w jakim stopniu sam fakt posiadania dzieci wpływa na absencję chorobową? Kobiety bezdzietne opuszczają rocznie 28 dni, a kobiety, które łączą pracę z opieką nad

Dokończenie na str. 3

# Spór o Solżenicyna

Parę lat temu bawiący w Łodzi Czuchraj, reżyser niezwykłego i przełomowego kinematografii radzieckiej filmu „Czyste niebo” w prywatnej rozmowie po pokazie filmu zapowiedział, że „Czyste niebo” jest tylko początkiem nowej drogi w sztuce radzieckiej, że pisarze już piszą książki na ten przełomowy temat. I istotnie książki się ukazały, a między nimi jedna o karierze naprawdę zawrotnej — w krótkim czasie bowiem osiągnęła miliony nakład, a jej autor, przed rokiem jeszcze nikomu nieznaną, kandyduje obecnie do nagrody imienia Lenina. Latwo się domyślić, że idzie tu o powieść Aleksandra Solżenicyna „Jeden dzień Iwana Denisowicza”.

Bohater tej książki, Iwan Denisowicz Szuchow, podobnie jak i bohater filmu Czuchraja, walczy bohatersko na froncie. Ale armia zostaje otoczona przez nieprzyjaciela, wielu trafia do niewoli. Szuchow jednak przedziera się przez lasy i bagna do swoich i tu spotyka go nieufność i oskarżenie o zdradę. „Dzień Iwana Denisowicza” pokazywany w książce Solżenicyna, to styczeńowy dzień 1951 roku, spędzony w obozie pracy, Oso blagu. Nie odznaczający się niczym specjalnie, jeden z wielu obozowych dni, nawet częściowo pomysły dla Szuchowa. Ale na tym polega i druga osobliwość tego utworu, że w ulamkowym obrazie odbija ona okrutną rzeczywistość minionego okresu.

Ostatnio w związku z kandydaturą Solżenicyna do tej na grody Lenińskiej, w prasie radzieckiej toczy się dyskusja na temat wartości jego książki. Solżenicyna jest już autorem kilku innych nieprzeciętnych utworów. Jednak właśnie ta, pierwsza jego książka brana jest głównie pod uwagę. Na łamach dzienników i pism literackich zabierają głos pisarze, krytycy i czytelnicy. Zdania są podzielone, dyskusja dostarcza coraz nowego materiału, a wśród obywateli polemicznych wypowiedzi zwraca uwagę artykuł W. Łakszyna „Iwan Denisowicz, jego przyjaciele i przeciwnicy”, umieszczony w styczniowym zeszytzie miesięcznika „Nowyj Mir”. Zawiera on przede wszystkim przegląd opublikowanych już wypowiedzi na temat książki Solżenicyna. Polemizując z nimi Łakszyn ustala zasady krytyki literackiej, na której opiera własną analizę powieści. Rozprawia warte jest przeczytania w całości. Ale na te naszych rodzimych dyskusji literackich specjalnie ciekawie wypada właśnie ta jego teoretyczna nadbudowa.

Łakszyn krytyce „normalnej” przeciwwstawia krytykę „analityczną”. „Normatywne podejście — pisze — polega na tym, że krytyk zanim zapozna się z omawianym utworem, już ma gotowe zdanie o wszystkim, co tego utworu dotyczy. Zawsze wie, jak powinien wyglądać główny bohater, na czym powinien polegać konflikt, jaka ma być proporcja ciemnych i jasnych tonów, jak musi wyglądać tak zwane to itd, itp. A więc czytając książkę wykonuje nieskomplikowaną pracę, podobną w czymś do sztuki krawieckiej: nakładła gotowy wykrój, sprawdza, czy wszystko zostało wykonane według przepisowych norm, i w wypadku, jeśli mu się nie zgadza — wydaje sąd ujemny, jeśli zaś znajduje, że wynik wypadł zadowalająco — odchodzi usatysfakcjonowany. Gorzej, gdy taki krytyk zaczyna radzić autorowi jedno skrócić, tamto wypuścić, demonstrować ubranie na własnej figurze, lub — co nie jest lepsze — na standardowym manekinie, tkwiącym w kącie jego zakładu”.

Jedną z norm „krawieckich” jest oczywiście znany dobrze i nam wszystkim miłośnikom pokazano zaledwie mikroobrazek, a nie epiką panoramiczną — obozowego życia, całego kraju, różnych środowisk! Drugą z norm zasadniczych można by nazwać: mania heroica — jakież to bohaterstwo z tego Iwana Denisowicza! Człowiek to prosty, ograniczony, tuzinkowy, z nadzarpniętą przez lata obozowej poniewierki odpornością, zamiast protestu mający na myśli jedynie pragnienie, aby przeżyć jeszcze i ten dzień. Sło-

wem żaden wzór, ideał, nie z pomnika!

Polemizując Łakszyn precyzuje zarazem własne pojęcie. A właściwie rekonstruuje kryteria prozy dobrych realistycznych tradycji. Prozy, której bohaterem jest właśnie człowiek „mały”, wyższą cnotą — nieświadoma własnej wyższości skromność, prawdziwą akcją to, co się dzieje we wnętrzu człowieka, stanowiąc główny motor jego postępowania. Są to wszystkie dobrze znane postawy pisarstwa wiświskorskiego, atomizującego rzeczywistość, aby na przykładach małych, a tym samym bliższych każdemu człowiekowi, dowieść praw ogólnych. Ten nurt, uświadczony wielkimi nazwiskami ostatnich stuleci, zawsze właściwie był biegunowo sprzeczny z zasadami literatury gotowych koncepcji, dydaktycznej, ilustrującej normatywne tezy światopoglądowe. Łakszyn podnosząc wartości analitycznej prozy Solżenicyna, tym samym podkreśla jej znaczenie również i pod względem przelaminowania skostniałych kanonów normatywnych.

„Doświadczenie wskazuje — stwierdza — że łatwiej pisać o sekretarzach rejonowych ko mitetów, o głównych agronomach i dyrektorach MTSów, niż o Iwanach Denisowiczach. Za czasów kultu jednostki wielu literatów przyzwyczaiło się do kierowania swojej uwagi raczej na to, co się dzieje w biurach kolchozowych za rządów, lekceważąc resztę wiejskich strzech. Pewnie dla tego kreowanie przez Solżenicyna na bohatera człowieka tuzinkowego, zwykłego, zostało potraktowane przez krytyków jako niebezpieczne no watorstwo”.

Zresztą Iwan Denisowicz w pewnych chwilach swego obozowego życia urasta na bohatera w znaczeniu dosłownym. Są to chwile, gdy w grupie innych więźniów pracuje jako murarz. Ta praca w kolektywie porusza go swoją celowością. Łakszyn określa to jako paradoks, ale paradoks znamienny, w którym doszukuje się głównej idei powieści Solżenicyna. „Gdy na obraz brutalno — przymusowej pracy — pisze — nasuwa się jakby obraz pracy wolnej, zmusza to do głębszego, dobitniejszego uświadomienia, co są warte ludzkie podobni do naszego Iwana Denisowicza i jakim zbrodniczym nonsensem było trzymanie ich z dala od rodzinnego domu, pod „lufami automatów”, za kolczastym drutem obozu”.

Kwestia stosunku do pracy specjalnie zajmuje Łakszyna. Chodzi mu o podział obozowych towarzyszy Szuchowa na ludzi z innych środowisk bardziej zdeprawowanych i na przedstawicieli krępy ludowej, których symbolem był właśnie chłop Iwan Szuchow. Wśród bohaterów powieści krytyk widzi inny podział, określający ludzi według ich stosunku do pracy niezależnie od sytuacji, w której aktualnie się znajdują. Jedni z nich cały swój spryt kierują na sposoby dekowania się, unikania pracy, inni — a do nich należą Iwan Denisowicz, były oficer marynarki Bujnowski, Turin, Kłowszyn — właśnie w pracy znajdują ratunek przed upodleniem. Taki stosunek do pracy nazywa Łakszyn „ludowym”, niezależnie od pochodzenia tych ludzi — ludowego czy inteligentkiego w dawnym znaczeniu tych pojęć. Mówi: „Ta ludowość nie jest powierzchowna, na pokaz, lecz głęboko w tych ludziach zakorzeniona, trwała. Jest ona wyjątkowo bliska Solżenicynowi i to właśnie ona nadaje jego książce ton optymistycznego hartu”.

W konkluzji artykułu krytyk przepowiada długi żywot powieści Solżenicyna: „Przeżyła ona w naszej literaturze wszystkich rok, a wywołala tyle sporów, sądów, komentarzy, bez precedensu w ostatnich latach. Nie grozi jej jednak los sezonowych efemeryd, na temat których podyskutują i zapomna. Nie, im dłużej żyje będzie ta książka wśród czytelników, im wytrześniej zacznie się wyjaśniać jej znaczenie w naszej literaturze, tym głębiej będziemy sobie uświadamiac niedozwolenie powstania jej jako zjawiska”.



Już za pięćdziesiąt centów możesz kupić znaczek do klapy z portretem Johna Fitzgeralda Kennedy'ego i napisem: „Ku pamięci naszego ukochanego Prezydenta”. Za 97 centów możesz kupić porcelanową figurkę JFK siedzącego na fotelu. Figurka ma w plecach trzy dziury i jest po prostu solniczka; w fotelu znajduje się pieprz. Za dolara dostaniesz „Wieczną lampę pamięci” (na 50.000 godzin palenia), z portretem prezydenta Kennedy'ego.

Szał rozpoczął się w kilka dni po śmierci JFK. Jest to największy boom handlowy notowany na rynku amerykańskim. Wydaje się jakoby dla każdego z nabywców, zakup portretu JFK czy solniczki uformowanej na jego podobieństwo było równoznaczne z deklaracją: „Ja kochałem i zawsze kochałem naszego tragicznie zmarłego, to nie ja ponoszę winę za jego śmierć”. Obecny szal pamiętkowy i pęd do deifikacji zamordowanego prezydenta jest dziwnie zbliżony z sytuacją po zastrzeleniu prezydenta Lincoln'a przed stu laty.

Niewątpliwie obecny boom jest spowodowany żalem i powszechnym poczuciem winy. Byłoby ono objawem wysoce pocieszającym, gdyby nie to,

## Pamiętkowy boom

jak na cywilizowane społeczeństwo zbyt powszechnie używany jest w USA ten rodzaj „argumentów” jak miało to miejsce w Dallas, zbyt często, zbyt powszechnie spotyka się sytuacje w których bandeci bądź nie są w ogóle wykryci, bądź uchodzą sprawiedliwi dzięki śmieszny rocznym czy dwuletnim karom więzienia za zabójstwo człowieka.

Fakt jest faktem: sprzedają się fantastycznie: tysiące i miliony portretów i popiersi, nie kończąca się lista najwymyślniejszych, najciekawszych w złym guście zrobionych drobiazów, począwszy od bransoletek i naszyjników, piór i przyczek na biurko po opakowania na mleko i cukierki — z patriotycznym napisem, z portretem JFK.

Wielki dom handlowy Woolwortha sporządził długą listę „pamiątkowych gadżetów”. Otwierają ją albumy z nagraniami przemówień JFK i jego zdjęciami. W miesiąc po morderstwie sprzedają pamiętki przyniosła już wielomilionowe zyski. W ciągu tygodnia sprzedano 4 miliony wspomnianego albumu z przemówieniami! Książka napisana przez JFK pt. „Profiles in Courage” uzyskała nowy,

Jak pisze reporter amerykański, przedsiębiorcy żerują na bólu i rozpacz ludzkiej. Zródłem ich milionowych zysków jest tragiczna śmierć młodego utalentowanego prezydenta. „Moim zdaniem, to hańba bogić się na śmierci ludzkiej” — powiedział jeden z przedsiębiorców amerykańskich (jubiler) do swych kolegów. Zdaniem innych sama istota biznesu wymaga zaspokajania potrzeb, czy raczej żądań klientów. „Zyski z książek o II wojnie światowej też mają źródło w śmierci milionów” — odparował prezes wspomnianego domu Woolwortha. Inny z businessmenów sformułował to bar dziej cynicznie: „Ludzie zawsze są żądni ofiary”. Presja społecznej opinii spowodowała jednak, że niektórzy przedsiębiorcy ofiarowują część dochodów ze sprzedaży pamiętek na fundusz dobroczynny im. JFK.

„Kiedy się to stało — tłumaczył reporterowi nowojorskiemu nagabnięty w trakcie kupowania portretu JFK trener drużyny uniwersyteckiej w Yale — przekonaliśmy się, że nigdy nie mieliśmy żadnego jego portretu. Człowiek spodziewał się co dzień go widzieć w prasie. Teraz chcemy mieć coś na stałe, coś czego nie można by nam zabrać tak jak zabrano nam jego”.

Trzeba przyznać, iż z tą atmosferą powszechnego żalu, dziwnie kontrastują nieudolność i opanowanie organów śledczych w odszukaniu sprawcy czy sprawców zbrodni.

LECH UTRACKI

# Oświecimy i współczesność

Motto: niechaj historia ludzkich upadków także polepsza człowieka.

Proces oświeceniowski zaczął się SS powinien służyć sprawie zasadniczej: polepszeniu człowieka; przez to Oświecimy stały się najdoskonalszym pasem transmisyjnym służącym pogłębianiu wzajemnego zaufania narodów do siebie i co za tym idzie, demurgiem pokojowego współistnienia.

Oczywiście ani nam się śni uszlachetniać Bergerów i Kaduków z ławy oskarżonych toczącego się aktualnie procesu. Ich poprawa, człowieczka reedukacja, to sprawa przegrana. Ten dygresyjny fragment naszej tezy można z całą odpowiedzialnością postawić kiedy się już przedśledziło złożone przez 22 SS-manów zeznania. Kartezjańska zasada człowieczeństwa nie ma nic do szukania w sali frankfurckiego sądu. Weźmy w trybie reminiscencji pierwszy z brzegu przewód sądowy. Adjuwant Komendanta Oświecimy Karl Hoecker wyparł się kompletnie udziału w jakiegokolwiek zbrodni. Jest to postawa tylna, co bezcelna. Adjuwanci komendantów wszystkich kacetów musieli uczestniczyć w najważniejszych wydarzeniach i z reguły kontrolowali kolumny, wykonujące ciemne SS-owskie wyroki. Adjuwant brał niemal zawsze czynny udział w zgadzaniu niebezpiecznych politycznych przeciwników hitlerowskiego reżimu. Zresztą zażyłmy wprost do pragmatyki funkcjonariuszy obozowych.

Jedno z jej postanowień brzmi: „Pierwszym pomocnikiem komendanta obozu, pozostającym do niego w odpowiednim stosunku zaufania, jest adjuwant, który powinien dbać o to, ażeby komendant wiedział o wszystkim, co z rzeczy,

ważniejszych zdarza się w obozie”. A z dokumentów operacyjnych K-L. Auschwitza wynika, że to nie kto inny, lecz właśnie adjuwant był odpowiedzialny za organizowanie służby na rampie gdy awizowano transport; on to osobiście kontrolował przewóz więźniów do komór gazowych.

— Skąd jednakże oskarżony wie, że gazowano więźniów? — zadał pytanie sędzia Hofmeyer.

— Dowiedziałem się o tym dopiero po wojnie z literatury, a później ze studiowania akt sądowych — odparł z ścią olimpijskim spokojem Hoecker.

Wróćmy jednak do naszej generalnej tezy. Jako że w procesie tym tkwi potencjał nie, niezauważalny może na pierwszy rzut oka, krzyk przeciwko poniżaniu godności cudzej, a więc i własnej, jest kontra założona już samemu pryncypowi znaczenia się człowieka nad człowiekiem, którego nie nie usprawiedliwia, żadne podobki, żadne względy ideologiczne bądź pseudo-ideologiczne jak nazistowskie, ani też polityczne.

Nazwijmy rzecz jeszcze inaczej. Proces w jakimś stopniu galwanizuje opinię publiczną, szczególnie dzięki prasie. Na przykład „New York Times” pisze: „W procesie tym wyjaśniony jest jeden ważny punkt, a mianowicie, że cała maszynieria masowych zbrodni była poruszana nie tylko przez wysoko postawionych przywódców nazistowskich...”

Nie tylko okrutni strażnicy działali w obozie ale tak że wielu ludzi z „warstw średnich”. Wielu ich było w transporcie, wielu pracowało przy segregacji, przy produkcji śmiertelnych gazów, przy gazowaniu, rozstrzeliwaniu, przy torturach. Proces jest lekcją dla świata, szczególnie zaś le-

kcją dla Niemców: dla młodszych jako ostrzeżenie, dla starszych zaś jako przypomnienie. Nic tu ująć nie do dać. Amerykański dziennik jak obszył jest sprzymierzeńcem naszej tezy.

Nam także chodzi o wychowanie człowieka. Zgadza się N.Y. Times z nami co do nieludzkości założeń Oświecimy. Niedwuznacznie nawołuje do refleksji tę część narodu niemieckiego, która prawdę mówiąc nie przesłania reedukacji humanistycznej, a w ocenie Oświecimy nie grzeszy o bietywizm. Wiemy, że denazyfikacja z lat czterdziestych była parodią i naigranawieniem się z milionów zamęczonych przez nazistów oświecimiaków.

Jednakowoż rzecz w tym, żeby nie tylko do części niewłaściwie wychowanych Niemców odnosić powyższe nauki i zalecenia. Głębsze odczytanie humanistycznego sensu procesu przyda się również i tym, którzy pouczają Niemców, w ogóle każdemu obywatelowi tej planety. Istnieje w toku przewodu sądowego, a może jeszcze bardziej między wierszami protokółów, spryjające przesłanki do re-alizacji takiego właśnie celu. Choć w założeniach swych ani się śniło prokuraturze zastanawiać się nad głębszą oceną procesu. Ba, na sądowych władzach NRF wprost go wymuszono.

A jeżeli zdarzy się, że obserwatora frankfurckiego procesu zainteresują nie przesłanki humanistyczne lecz kryminalistyczne, czyli innymi słowy, sensacja a la Agata Christie, tyle że w tysiącokrot spotegowanej makabrze, wówczas pomoc w wyważeniu przez tę osobę właściwych proporcji jest znowu obowiązkiem publicystyki. Przy tym warunkach konieczny: współczes-

ność wymaga już nie szkolenia cyframi ofiar Oświecimy, ale wiązania jego problematyki z dniem dzisiejszym. Więc konfrontować Oświecimy z takimi jak Globke, Oberländer i Krüger. Więc nie do oświecimiaków adresować „Nigdy więcej!” ale do wszystkich tych, którzy na oczy nie widzieli Rajksa i Birkenau. Poderwać do niesienia transparentów z bolesnym na nich słowem „Oświecimy” trzeba nie byłych więźniów ale wszystkich innych ludzi. Powinni go nieść inni, w milionowych pochodach. Wszędzie. W NRF także i przede wszystkim. To jest konieczność w tym celu, aby naród ten posiadał zdolność dyferencjacji postaw i konsekwentną osadę: za zbrodniczą musi iść kara, choćby kara ostracyzmu społecznego. Niejeden z obywateli tego kraju musi popatrzeć krytycznym okiem na takich spośród swego grona jak Martin Fellenz, SS — sturmbannführer, który kierował wysiedleniem polskich obywateli z Tarnowa, Rzeszowa i Przemysła, w następstwie czego uśmiercono 40.000 ludzi — a dziś uzyskał rozgłos w NRF jako... kierownik chóru muzyki kościelnej. A jego obrońca w procesie zażądał uwolnienia swego klienta od winy i kary, mniąc go człowiekiem łagodnego usposobienia.

Przebudowa mentalności znacznej części społeczeństwa Republiki Federalnej to jedna z najważniejszych spraw współczesności. Tak dągu, dopóki ludzie jak SS-stabsführer Wolfgang Otto, morderca Ernesta Thaelmanna, będą na funkcjach nauczycieli w tym kraju, nie będziemy w stanie orzec, że Oświecimy współczesność już zasymilowała. ZYGMUNT ZONIK



Rytmicznie, co cztery dni trwa tutaj stan pogotowia. Rytmicznie, co cztery dni — „Warszawy” oznaczona czerwonym krzyżem przywożą chorych z wielu dzielnic miasta. Przejmujący dźwięk syreny alarmuje. Znowu przybył ktoś, komu trzeba przynieść z natychmiastową pomocą.

Szpital im. Jonschera przy ul. Millionowej w obrębie kliniki znajduje się również II Klinika Chirurgiczna WAM, pomocy nie odmawia. Chociaż... zdarzają się czasem takie obłądane noce, podczas których pielęgniarki i siostry nie mogą nadążyć z rozstawianiem zapasowych łóżek i szykowaniem pościeli. Bywa, że do rana wszystkie dodatkowe miejsca są zajęte i pacjenta trzeba odesłać do innego szpitala.

W tym samym czasie III piętro nowego pawilonu jarzy się światłami. Znajduje się tutaj blok operacyjny. Przy nawale wypadków zabiegów przeprowadza się jednoczesnie na trzech stołach. Chorzy z niższej kondygnacji nasturczą. Nierówny stuk wózka — kuleje nieco na jedno kółko — sygnalizuje, że kolejna operacja skończona. Która z rzędu? — 10, 11? „Starzy” pacjenci stracili rachubę. A III piętro wciąż oświetlone. W dalszym ciągu trwa

kiejs spółdzielni, nauczycielka i robotnik z budowy — od pierwszego „dzień dobry” znajdują wspólny język.

W tym mikroskopijnym społeczeństwie, jak w każdym innym, znajdują się ludzie dobrzy i źli, mądrzy i ograniczeni — święcie wierzący w znachora, ale leczący się w nowoczesnym szpitalu. Znajdzie się też skończony drań, który nie zawaha się skraść chorej po operacji zegarka. Ludzie są różni. Trudno tu na nich oddziaływać wychowawczo. Tu się ich leczy.

Ostry dyżur przynosi obfity plon. Szczególny „urodzaj” na wyrostki, na drugim miejscu chyba złamania. Wiadomo — zima. Jej ofiarą padają najczęściej starcy i dzieci. Bywają i poważne wypadki — pęknięcie kręgosłupa, silne wstrząsy mózgu. Nie zawsze dzieci umieją się bawić na lodowiskach; nieczęsto ściera się klatki schodowe. Ale zabiegi tego typu nie należą do najcięższych.

Na ogół pacjenci z ciężkim schorzeniem nie zjawiają się w czasie ostrego dyżuru. Przychodzą w zwykły, roboczy dzień ze skierowaniem. Są cisi i wydawałoby się, przygotowani na najgorsze. Optymizm bierze jednak górę nad wątpliwościami, chociaż niejednokrotnie w ciągu dnia powstaje bolesny niepokój. A nuż się nie uda? Każdy ma prawo do leku. Jest się czego bać. Resekcje żołądka i dwunastnicy, ropne woreczki żółciowe, zwyrodniała tarczycy i prawdziwa plaga społeczeństwa: guzy i guzki, które mogą okazać się złośliwymi nowotworami.

Lęk przed rakiem, zwany cancerofobią zrozumieć może tylko ten, kto był sam śmiertelnie zagrożony. Jest niezależny od ludzkiej woli, nie daje się wyperswadować. Tkwi jak zadra i atakuje nie wiadomo kiedy. Z całej perswazyj zostaje tylko przeświadczenie — trzeba wyciąć. Pozbyć się jak

najszybciej, zdobyć pewność, że to nic groźnego, lub przeświadczenie, że niebezpieczeństwo w porę zażegnane. I dlatego chore, u których stwierdzono guzki zwracają się do dyr. Kliniki dr Stefana Chmielewskiego z natrętną prośbą — profesorze, kiedy wreszcie będzie operacja? Prof. Chmielewski budzi bowiem bezwzględne zaufanie. Takie zaufanie pacjentów zmniejsza obawę przynajmniej o połowę.

Lecz nawet połowa jej wystarcza. Średnio od chwili zacementowania zabiegu do uzyskania wyniku badania histopatologicznego — do uzyskania pewności, mija półtorej godziny. Mimo zaaplikowanej przed operacją morfiny, mimo, że nowokaina absolutnie znieczula, czas się potwornie wlecie — jak będzie wynik? Na szczęście pomyślny. Następuje odprężenie. Nie tylko odczuwa je pacjentka. Przez lzy widzi jeszcze serdeczny uśmiech lekarzy i pielęgniarek. To nieprawda, że chirurdzy uznają tylko radykalne cięcia. Z lancetem wkraczają tylko tam, gdzie jest on niezbędny.

Szpital im. Jonschera służy przede wszystkim mieszkańcom robotniczych dzielnic południowej części miasta: Chojen, Zarzewa, Rudy. I służy dobrze. Nie tylko dlatego, że „pada” tutaj najbardziej skomplikowane operacje, z których niejedna trwa do 8 godzin, ale również dlatego, że pomyślnie przebiega w nim okres rekonwalescencji. Chorzy są tutaj w miarę swobodni, lekarze w miarę tolerancyjni. Uderza jednak nie tylko tolerancja lecz przede wszystkim uważny stosunek lekarza do pacjenta. Cechuje on zarówno dyrektora Kliniki, jego zastępcę dr Bobrowskiego jak i asystentów, pielęgniarki. Wiele ciepła okazuje się tutaj dzieciom i starcom. Bezpośredni zwrot „babciu” wywierają nie mniejszy skutek niż żądane smarowanie. Choć i smarowania się nie odmawia.

Zdrowie. Z każdym dniem przybywa go rekonwalescentom. Wkrótce wrócą oni do domów, do pracy. Lecz na oddziale chirurgicznym niewiele się zmieni. Rytmicznie, co 4 dni panuje ostry dyżur. Rytmicznie, co 4 dni będą trwały do późnej nocy, a może wczesnego rana, zabiegi w bloku operacyjnym. Każdy z nich daje szansę na życie.



RYSZARD PAWLAK

— Witam Pana serdecznie w naszej rubryce „Lodzianie podróżują”. Jest Pan pierwszym? Czytelnikiem, który sam zaproponował „Odgłosom” swoją opowieść o zagranicznych podróżach. — Podróż nie była długa, raptem 12 dni, i nie taka jak dotychczasowych „klientów” rubryki — daleka. Ale kiedy znajomi pytają: „i cóż z Moskwy przywieziesz?”, odpowiadam — nie futro karakulowe i nie aparat fotograficzny tylko wrażenia. Jakże wspaniale przywoziłem wrażenia! Plac Czerwony nocą, Teatr Wielki, kolorowe osiedla, moskiewska ulica...

— A więc moskiewska ulica. — Do Moskwy przyjechałem z Kijowa. Był wczesny ranek. Ludzie śpieszyli do pracy, dziewczęta chowały nosy w wysokich futrzanych koltanach, a nad kolumnami fruwały szferynowe chustki zawiązane modnie pod włosami, „na Kleopatre”. Zauważyłem też kilka par zgrabnych nóg ubranych, mimo dość dużego mrozu, w gustowne szpileczki. A późnym wieczorem, na Placu Czerwonym, zwróciłem uwagę na grupkę młodych moskwiżan. Przechadzali się koło Mauzoleum, rozmawiali. Dziewczęta trzymały się pod ręce i szły w środku, chłopcy po bokach. U nas w Łodzi o tej porze dnia moi koledzy studenci mają zwyczaj grać w brydża w pokojach pełnych dymu, a dziewczęta siedzą w kawiarniach i też palą papierosy. Dziwne, że zapomina się o spacerach, o koleżeńskich rozmowach i o ziemi, która tak jak wiosną, lato i jesienią traci się za głupią ceną małej czarnej i szlama w płik.

— Miał Pan jakąś przygodę? — Jedną, ale za to jaką... Pojechałem taksówką na Kutuzowski Prospekt sto dziewięćdziesiąt. Tam mieszka mój przyjaciel Robert, młody poeta. Stałem w klatce nowoczesnego domu i spojrzalem na spis lokatorów, ale nie nazwała mnie zainteresowały, tylko idąc po schodach piękna dziewczyna. Miała bardzo czarne włosy i białe futerko z kapturem. „Augustia” — zawołał ktoś z góry — pamiętaj o szklankach, córeczko”. Ona wyszła na ulicę, a ja za nią. Ona jechała trolejbusem — i ja tym samym. Potem pobiegła do metra, oczywiście z moim cieniem. Kupiła bilet do cirkoramy. Ja też. Grał film „Wiosna idzie”. Ona uśmiechała się do ludzi z ekranu i nie inego ja nie obchodziło. Później znowu było metro i dwa trolejbusy i ogromny magazyn, do którego wszedłem za nią. Oglądała strasznie długo jakąś białą, bardzo strojną suknię i zupełnie króciutko szklanki, cukiernice, talerzyki. W pewnej chwili podszła do niej druga dziewczyna, pocałowały się. „Dzień dobry, Augusta — powiedziała ta druga — a gdzie Mikołaj, przecież w sobotę wasz ślub...”. Ono już poszły a ja stałem przed wielkim magazynem i dopiero wtedy zauważyłem, że to przecież ów słynny moskiewski dom towarowy tylko dla nowożeńców... Ale niech Pani o tym wszystkim nie pisze. Moja dziewczyna jest strasznie zazdrośna...

Rozmawiała:

H. B.

\*) Gdyby któryś z naszych Czytelników chciał się podzielić wrażeniami z zagranicznych podróży — chętnie wysłuchamy.

## BARBARA WRZESINSKA SZANSA NA ŻYCIE

nych sal. Dom, dzieci, rodzina, praca. Odrębne zainteresowania, różny klimat środowisk, z których wywodzą się jego przedstawiciele. Ale jest również coś, co ich wiąże. Bez względu na to czy przebywają tu kilka dni, tygodni czy nawet miesięcy. Powstaje swój sta solidarność, której źródłem jest przebyte cierpienie i wspólny lęk. Lęk przed operacją i lęk o jej rezultat. Te dwa czynniki powodują, że zarówno przadka od „Dzierżyńskiego”, tkaczka od „Szymańskiego”, główny księgowy ja

czeństwa: guzy i guzki, które mogą okazać się złośliwymi nowotworami. Lęk przed rakiem, zwany cancerofobią zrozumieć może tylko ten, kto był sam śmiertelnie zagrożony. Jest niezależny od ludzkiej woli, nie daje się wyperswadować. Tkwi jak zadra i atakuje nie wiadomo kiedy. Z całej perswazyj zostaje tylko przeświadczenie — trzeba wyciąć. Pozbyć się jak

9 dni! Bo kobiety obciążone dziećmi reprezentują dużo wyższe poczucie obowiązku niż ich bezzdzielne koleżanki z miejsca pracy. Pracujące matki oświadczyły wprost, że „nie mają czasu chorować”.

Nie sposób omówić całego materiału dotyczącego sytuacji kobiety w fabryce czy w innym miejscu pracy. Wypada jednak wspomnieć o tzw. życiu domowym i rodzinnym kobiety po 8 czy 7 godzinach pracy zarobkowej w biurze czy fabryce. W domu czekają przecież liczne zajęcia, które sprawiają, że dla kobiety pracującej zawodowo doba jest nieraz za krótka. Pewna Amerykanka obliczyła, że kobieta wykonuje w domu... 40.000 różnych czynności. A tak napisała o domowych zajęciach uczestniczka ankiety „Życia Warszawy”: „Jestem lekarzem, pielęgniarką, kucharką, wychowawczynią, sprzątaczką, stolarzem, elektrykiem, malarzem, dziewiarką, fryzjerką, kosmetyczką, dietetyczką, praczką, referentką kulturalno- oświatową - prasową, osobistą sekretarką męża oraz pod ręczną encyklopedią dla wszystkich domowników, również maszyny nistką, tłumaczką itp.”

Ile czasu zabierają kobiecie te domowe zajęcia? Obliczono, że w miastach wynosi to około 50 godzin tygodniowo, a więc więcej niż tydzień pracy zarobkowej poza domem. Angielskie źródła wskazują, że ta ilość czasu jest różna

w różnych okresach trwania rodziny:

w I okresie — 40 godzin tygodniowo;

w II okresie (okres urzędowania się, dzieci do lat 7) — 60—65 godzin tygodniowo;

w III okresie (dzieci od 7 do 14 lat) — 50—55 godzin tygodniowo;

w IV okresie (dzieci 14—18 lat) — 45—55 godzin tygodniowo;

w V okresie (studia wyższe, początek pracy zarobkowej dzieci) 40—45 godzin tygodniowo;

w VI okresie (niezależność dzieci) — 35 godzin tygodniowo.

Z. Zarzycka stwierdziła, że wieloletnia kobieta pracująca zarobkowo w Łodzi pracuje w zasadzie 6 dni tygodniowo na dwóch zmianach. Ale ta ocena jest nawet mniej jaskrawa od danych francuskich. Obliczono we Francji, że wszystkie kobiety w tym kraju tracą na pracę w domu 46 miliardów godzin rocznie, podczas gdy praca pozadomowa wszystkich mężczyzn i kobiet razem zabrała jedynie 42 miliardy godzin tygodniowo.

Sprzymierzeńcem kobiety jest w tych warunkach technika. W ZSRR obliczono, że w ciągu ostatnich 35 lat technika, która wtarła się do gospodarstw domowych, zaoszczędziła radzieckiej kobiecie połowę jej czasu, zużywanego na różne czynności domowe.

Jeśli zaś jest jeszcze wśród czytelników ktoś, kto nie wie, ile jest warta praca domowa kobiety, powtarzamy za Angielką C. Colin, która obliczyła, że praca ta warta jest 11 funtów tygodniowo, podczas, gdy przeciętne zarobki robotników w Anglii wynosiły w tym samym czasie (1956 r.) tylko 10 funtów.

Kilka lat temu starano się obliczyć czas pracy domowej łódzkiej włókiennicy. Bezzdzielna traciła 37,5 godz. w tygodniu, ale przy trojgu dzieciach czas ten urastał już do 63,7 godzin tygodniowo.

A nasze kobiety potrzebują poza tym jeszcze nieco czasu na naukę, zaoczne studia, na sprawy związane z życiowym awansem. Przez całe powojenne dwudziestolecie jesteśmy świadkami udziału kobiety w tysiącach kursów, w studiach, zaocznych, nauce. I to w wielu przypadkach — kosztem nie przespanych nocy, kosztem rozrywk i zdrowia. Nie dziwny się więc, że z pewnej statystyki kobiety są coraz bardziej dumne. Ze statystyki na temat stanowisk kierowniczych zajmowanych przez nie w kraju. Wśród robotników wykwalifikowanych w przemyśle odzieżowym mamy już 76 proc. kobiet, we włócznie 72,2 proc., a w chemii 31,7 proc. A poza tym, co czterdziesty piąty dyrektor lub naczelny inżynier w Polsce to kobieta, co piętnasty kierownik działu produkcyjnego to kobieta, co

piąty główny księgowy to również kobieta. Nie mówiąc o ekonomistach, gdzie jest niemal pół na pół.

A z tą ekonomią — wiadomo, w większości gospodarstw domowych kasę „trzyma” żona...

### Napisz co myślisz

O KSIĄZKACH  
WYDAWNICTWA  
ŁÓDZKIEGO,  
O REPERTUARZ  
TEATROW  
ŁÓDZKICH,  
O „ODGŁOSACH”.

A list Twój weźmie udział w losowaniu nagród książkowych. Najciekawsze wypowiedzi opublikujemy na łamach Twego tygodnika.

„ODGŁOSY”

## K FELIKS BABOL KOBIETO JAKA JESTEŚ?

dalszy ciąg ze str. 1

dziećmi — tylko 32 dni w roku. Tak jest w Berlinie. Nasze, polskie badania wskazują na jeszcze ciekawsze zjawisko, bezzdzielne o-puszczają rocznie 25,8 dni, a mężatki i matki trojga dzieci tylko...

## KRYSTYNA WOJTASIK

**K**rólowanie Telimeny w opuszczonych tkalnicach i magazynach przy ul. Jarcza i Południowej rozpoczęło się oficjalnie 1 stycznia 1957 r. Władzynie okazała się: laska - wa zatrudnia 950 osób, potrzebna - kobiecie bardziej lub mniej zapracowanej, a lubiącej się modnie i gustownie ubrać, wy-magająca, czy raczej ceniąca się, i - ekspansywna. Jej placówki, moż-na by je konsekwentnie nazwać dy-plomatycznymi, znajdują się nie tyl-ko w Łodzi przy ul. Piotrkowskiej (suknie, spodnie, podolki, dodatk-i itd.) i Sienkiewicza (plaszcz, futra, kostiumy), ale także w Warszawie, Krakowie, Katowicach i Zakopanem. Poza tym, jak prawdziwa kobieta, została poddana władzy mężczyzny.

Dyrektor Ossowski stwierdza więc autorytatywnie, że moda szokująca nigdy się nie przyjmuje, a przy-najmniej dzieje się to w bardzo po-wolnym, „ewolucyjnym” tempie. Tak było z długością, względnie krótko-ścią sukien oraz szerokością ramion. Lansowane obecnie przez Paryż po-szerzone ramiona, wprowadzone już przez „Telimene” w serii jesienno-zimowej napotkały opory klien-tek. Nie zważając na wygodę i swo-bodę ruchów cenią sobie niewieścią spadziłość ramion. Co prawda bar-dziej w Łodzi niż w Warszawie. War-szawa znacznie szybciej podchwyt-uje i przyjmuje nowinki mody, Ło-dźi trzeba na to mniej więcej roku.

Moda ma dwa aspekty - mówi dyr. Ossowski - handlowy i psycho-logiczny. Ten pierwszy, to produkcja plus sprzedaż, sprzedaż niezależnie



od tego, czy modele są ładne czy brzydkie, są modne i to jest naj-ważniejsze. Aspekt drugi, to trudno poznawalne głębiny psychologii ko-bięty (i mężczyzny!) która pragnie być modnie, praktycznie i niedrogo ubrana. Dlatego też „Telimena” wprowadzając na rynek krajowy no-wości mody przystosowuje je do własnych możliwości, biorąc pod uwagę dostępne rodzaje tkanin, upo-dobania swych klientek i ich moż-liwości finansowe. A owe nowości mo-dy przywozi sobie prosto z Paryża.

**C**o słychać w Paryżu? - Wiosna - odpo-wiada p. Aleksandra Noskiewicz, kierownik artystyczny pracowni projektującej modele dla „Telimeny”. - Wszyscy, chociaż to druga połowa lutego, chodzą tam z gołymi głowami, kobiety w lekkich pantofelkach, wśród których coraz częściej widzi się bućki na niskim, szerokim słupku. No i przyodziane w lekkie, „małe” plaszczki, pod które trudno byłoby założyć sweter. Ścisłe przylegają do sylwetki. Takie właśnie plaszczki pokazał w swej kolekcji wiosenno-letniej Dior, a także Cardin i takie ukażą się w „Telimencie”, częściowo laminowane. Ponadto utrzymują się nadal redin-goty oraz plaszczki o linii trapezu, rozszerzone ku dołowi. W ogóle nie ma w tegorocznej modzie zmian szokujących, widoczne są nadal ak-centy zaznaczone już w kolekcjach jesienno-zimowych paryskich dykta-torów mody, np. leciutko poszerzone ramiona. Cechy zasadnicze modnej kobiecej sylwetki to wiotkość i szczupłość, modele są więc wyszczu-plające. A propos, Francuzki są o wiele szczuplejsze od Polek. Jak one to robią? Paryskie modelki są tak szczuple, że czynią wrażenie wosko-wych figur, jednak o zdrowej cerze. „Kobiecość” modeli zaznaczana jest coraz wyraźniej: bufki, zdarzające się nawet w sukniach welnianych, falbany, zwłaszcza przy długich suk-



biada, usia także, za to oczy wy-rażiste. W uszach klipsy, małe per-letki, noszone już od rana; na wie-czór - długie, zwisające, iskrzące się koleżki. Szyja naga, bo korale nie-modne. We włosach sztuczne kwia-ty, oczywiście na wieczór, wpięte w sztuczny kok, gdyż fryzura dzienna jest krótka, prosta i gładka. Sztucz-ne kwiaty spłyka się także w kla-pkach lub... kieszeniach kostiumów, np. pęczki konwali.

- Kiedy w sklepach „Telimeny” ukażą się nowe, można rzec, pary-skie modele?

- Mniej więcej za półtora miesią-ca.

**T**yle bowiem czasu, półtora do dwóch miesięcy, trwa cykl produkcyjny „Telime-ny”. Narysowany przez paryską projektantkę przybiera realne kształty na figu-rze modelki w modelarni wzorującej, a następnie, po ocenie, wędruje do laboratorium przygotowującego (z wzo-rce przemysłowe. Tutaj dostosowuje się mo-del do figury „przeciętnej” kobiety, rozpracowuje rozmiary, uwzględnia-jąc różnice tuszy i wzrostu poten-



niach wieczorowych, zwlewność i lekkość materiałów.

Lansowana linia sukien - prin-cessa, najczęściej bez rękawów, z dekoltem w kształcie litery „V” lub owalnym. Do takich sukien często przydane są chanelowskie żakietki.

Następnie fason prosy czyli wo-rek z paskiem, dekoltu takie same. Na popołudnie linie identyczne tj. „trzymające się figury”, tyle, że wzbogacone drapowaniem lub więk-szym wykrejsem dekoltu.

W kostiumach, o spódnickach często rozszerzonych gódekami ma-my trzy rodzaje żakietów: króciutkie, czasami nie zakrywające nawet pas-ka (ze skóry), typu marynarkowego, zakrywające biodra, i tu właśnie z reguły mamy owe poszerzone ramio-na (są to żakietki spotykane nawet w modelach wieczorowych, z tym, że materiał jest efekowny i gęsto na-szywany dużymi, jubilerskimi kamieniami oraz długie, czyli 7/8. Ciekawostka - „marynarkowe” ża-kietki spłyka się w kostiumach Dio-ra uszytych z tzw. tenisu czyli mięk-kiej granatowej wełny w białe pas-ki.

„Telimena” ma na uwadze wspo-mniane tu wzory, nie zapominając również o szmizjerkach i wszelkiego

rodzaju garsonkach zawsze modnych, popularnych i praktycznych a po-zostających nadal w laskach Paryża. Zadaniem projektantek naszego Do-mu Mody będzie zastosowanie zasad-nicznych linii mody oraz szczegółów uzupełniających w ramach tzw. pro-dukcyj przemysłowej.

- Z jakich materiałów modele bę-dą szyte?

- Oczywiście modnych: elany, dzia-niny, jedwabiu, szyfonu. Suknie let-nie przede wszystkim z jedwabiu, w duże „plaskie” kwiaty (popołud-niowe), grochy i koła (przedpołud-niowe).

- Kolory?

- Moda letnia lansuje przede wszystkim biel często w połączeniu z granatem. Ten ostatni łączony jest z czerwonką i beżem. Na wieczór i popołudnie nadal modny kolor czarny uzupełniany beżowym lub białym. Oprócz bieli panuje kolor różowy w podobnych połączeniach i na wszystkie pory dnia. Poza tym jasnoniebieski i czekoladowy brąz. Ogólnie biorąc kolory są wyraziste, niezłamane, stosuje się gamy barw unikające kontrastów.

- Jak umalowana i „przyozdobio-na” jest paryżanka?

- Makijaż bardzo dyskretny. Twarz

cialnych klientek oraz wylizła się dokładnie ilość materiału potrzebnego na uszyć danego modelu. Nie może zmarnować się ani centymetr. Na podstawie tych wylizzeń nastę-puje wyecna. Nad laboratorium czu-wa inżynier Olczyk.

Następny etap to już produkcja. Serie „Telimeny” są krótkie. Obejmują przeciętnie do 150 wydań tego samego fasonu.

W tej chwili „Telimena” przygo-towuje się do występu na Targach Lipskich. W pomieszczeniach, obok laboratorium, wiszą sukienki, gar-sonki, plażówki, plaszczki, kostiu-my. Wszystkie są gustowne, elege-antkie, po prostu ładne, o „życio-wych” fasonach, modnych kolorach i wzorach. Istne królestwo kobiec-ych marzeń i kobiecej próżności.

Barczo chcemy zobaczyć je wszyst-kie w sklepach.

## KRÓLESTWO KAPITANA LEBIADKINA

Było to w Convention Hall, w Miami Beach, w szóstej rundzie. Sonny Liston odsłonił się i otrzy-mał cios. Upadł. A potem był dzwonek, który tu zastępował gong. Sonny Liston dźwignął się, dotarł do swojego rogu. Pod-szedł do niego lekarz i sędzia. Zapytali, czy może jeszcze wal-czyć. Odpowiedział: niestety, te-raz już nie. Był faworytem. Wszyscy stawali na niego. Jack Dempsey i Joe Louis, Rocky Marciano i Ingemar Johansson. Nikt nie miał takiego ciosu jak Sonny Liston. Lewy hak Sonny Listona... To nie potrwa długo. Najwyżej sześć rund. Rundę wy-trzymał z nim Floyd Patterson. Niecałą rundę. He wytrzyma Cas-

sius Clay? Bookmakerzy przyjmowali zakłady. Najpierw w sto-sunku 7:1, potem 8:1. Dla Listona. Oczywiście, dla Listona. Henry Cooper, mistrz brytyjskiego Imperium na kilka dni przed walką zdobył tytuł mistrza Europy. Wypunktował Brian Londona. Te-raz czekał na walkę w Miami Beach. Jeśli wygra Clay, będzie walczył z Clayem. Jeśli wygra Liston... Wówczas zwyciężę.

W szóstej rundzie po ciosie Cassiusa Clay Liston upadł. Leżał na deskach. Leżał po raz pierwszy. Kiedyś, dziesięć lat temu - był wtedy nieznanym bokserem - Eddie Marshall złał mu szcękę. Ale Liston nie upadł. Wytrzymał i to. Wytrzymał do koń-ca. Wtedy przegrał. Na punkty. Po dziesięciu latach przegrywał po raz drugi. Tym razem przez techniczne k.o.

Chełwał wygrać. Tak bardzo chełwał wygrać. Od razu, już w pierw-szej rundzie. Może dlatego nie trafił. Spóźniony cios, znowu spóźniony... Ten, który miał być ciosem ostatnim. Chyba, raz jeszcze chybia... Ale przecież dojdzie. W końcu dojdzie. Musi do-jść. Tego aroganckiego skryba! Te piękność nad pięknościami! Tego proroka z olimpijskim medalem! Tego Cassiusa Clay! A po-tem był ból, nagły, gwałtowny ból kontuzji. Liston już wiedział. Te walkę trzeba skończyć szybko, jak najszybciej. Jeżeli chce wygrać. Teraz musi trafić. Jest kontuzjowany. Za chwilę nie będzie mógł walczyć. Będzie już tylko ciosem. Wokiem treningo-wym. A więc atakować. Atakować! Przychodzi szósta runda. Ostatni atak i cios. I słowa: „Niestety, teraz już nie”.

W ringu zostaje Cassius Marcellus Clay. Jest mistrzem świata wszach wag. On poeta i prorok. Powtarza tradycyjną formułę mi-strzów: „Jestem królem”. Zaczyna się królestwo tandetnej dosko-nałości. A może królestwo kapitana Lebiadkina?

Kapitan Lebiadkin to postać fikcyjna. To bohater „Biesów” Do-siojewskiego. Jest ułóżony i pełen pychy. Jest poeta. Poeta olinie-wajko kołowym. I jest tchórzem. Nie, nie sposób opisać Kapitana Lebiadkina. Kapitana Lebiadkin jest nie do opisanja. Przeczytajcie „Biesy”. Przeczytajcie „Biesy”. Wyobraźcie sobie, że jest młod-szy - ma dwadzieścia dwa lata, został bokserem zawodowym, i stoi teraz pośrodku ringu. Wyobraźcie to sobie. Wówczas zoba-czyć Cassiusa Marcellusa Claya.

Clay jest mitem doskonałości. Doskonałości za dwa grosze. Wzmocnionej, pomnożonej reklamą. A może tylko wykoncy-powanej? Właśnie dia reklam? Idzie tu przecież o pieniądze. O nie-byle jakie pieniądze. To są tysiące, setki tysięcy dolarów. Przed walką jeszcze, na kilka tygodni przed meczem w Miami Beach, Clay mówił: „Ja wiem, dlaczego robisz z siebie blazna. Ja chcę pieniądze”. Po walce już jako mistrz świata, jako „król” zapew-niał, że nie lubi boksu. Nie znosi krwi. Nie chce nikomu robić krzywdy. A bokserem został, bo to przynosi dochód. Bo to in-trymne zajecie. Teraz, gdy ma już to, czego chełwał, myśli o wy-tramieniu się z ringu. Wyczoła się? Nie wierzę. Będzie walczył. Na wielu jeszcze ringach. I będzie obiecywał, że dziś walczy już po raz ostatni. Ze jutro rzucą to wszystko. Definitywnie, ostatecz-nie. I nie rzuca. Bo Cassius Clay szuka potwierdzenia. Weryfika-cji siebie samego. Swolnej wartości, swojej chwaly. Nie jest jej pewien. Może go oszukują? Wszyscy go oszukują? A on jest tylko zalosnym blaznem, wydany sztyderstwem, wystawionym na śmiech. To nieprawda. Tak być nie może. A jeśli tak jest? Wtedy udziela wywiadów. Woła: „Jestem najlepszy. Jestem największy. Jestem najpiękniejszy. Ja, właśnie ja - Cassius Marcellus Clay”. Powta-rza to, krzyczy. Znowu krzyczy: „Będę mistrzem świata. Będę niepokonany. Nikt nie wygra ze mnie. Zapamiętajcie to sobie - nikt”. Tak jak krzyczał do Sonny Listona na dzień przed walką: „Zabiję cię. Zabiję”. Bo bał się. Śmiertelnie bał się Sonny Listona. Dlatego wygrał mu, niemając potrasał pięściami przed jego nosem. Dlatego krzyczał. Nie, nie po to, by przekonać in-nych. Tych, którzy to widzieli. Lekarzy, menażerów, sędziów. Krzyczał po to, by przekonać siebie. By upewnić się w swojej świętości, umocnić, utrwalić. Nie ma jej poza oczami widzów. Poza spójrzeniem drugiego człowieka. Drugi człowiek jest tu gwa-rantem chwaly. Gdyby nie było drugiego człowieka... Jest jeszcze lustro. Przed lustrem stanie Cassius Clay. I będzie mówił. To, co mówi zawsze. Będzie argumentował. Jeśli krzyk samozado-wolenia jest argumentacja. Będzie zapewniał, przekonywał, stopnio-wał przymiotniki. Najlepszy, najwięk-szy, najpiękniejszy, i będzie snola-dził na lustro podejrzliwie. Okłamuje go. Nawet przedmioty kłamią. Jest ano-nimowy. Jest nikim. Podnosi ręce do góry. Woła: „Jestem królem”. I myśli: „Jestem... Kim jestem? Królem? Bla-zenem?”. Biedny Cassius Marcellus Clay!

Punch

## Za rogatkami

Przywykliśmy mówić o „powia-towej kulturze” o „powiatowej szmierce”, przyzwyczailiśmy się myśleć, że poza rogatkami nasze-go miasta nie dzieje się nic, co zasługiwałoby na uwagę. Jesteś-my skłonni osądzać powiat przy-jmując pozę konsumenta lepszej bo wojewódzkiej i wielkomię-skiej kultury. Z określeniem tak-iej postawy nie ma kłopotu. Kłopoty zaczynają się dopiero kiedy trzeba sobie przypomnieć termin ostatniej wizyty w teatrze w sali koncertowej, kiedy trzeba wymienić tytuł ostatnio wysłu-chanego odczytu i nazwisko pre-legenta. Wtedy właśnie pozycja konsumenta wojewódzkiej, wiel-komięskiej kultury ulega zach-wianiu, okazuje się, że jest to jeden z wielu mitów, które w sobie tak starannie pielęgnujemy. Mam przed sobą ostatni numer „Gazety Ziemi Piotrkowskiej”, ty-godnika, jak głosi wzniesła - in-formacyjno-społecznego. Gazeta reklamuje wprawdzie na pierw-szej stronie „pasjonującą powieść Barbary Gordon” i wywiad z Ma-

tysiakami jako najważniejsze swoje pozycje, jednak numer te-go tygodnika informacyjno-społ-eicznego aż się roi od pozycji o wie-kszej wadze. Są to czasem niewielkie tylko wzmiarki, rozsiane są jednak po całym nu-merze od pierwszej do ostatniej strony.

Prelekcja o Stefanie Jaraczu w kawiarni „Pod Ormianinem” nie ścigała wielu słuchaczy. Zarząd Koła Terenowego Polskiego To-warzystwa Ekonomicznego zapra-sza na odczyt „Place, zatrudnienie a aktualne problemy”. Klub spor-towy Concordia organizuje spotka-nie ze sprawozdawcą sportowym Polskiego Radia. Odczyt docenta Uniwersytetu Łódzkiego, prelekcja o Stanisławie Wyspiańskim i XIX-wiecznym Krakowie. Sylwetka zasłużonego i bardzo w Piotrkowie popularnego prof. Mieczysława Strychalskiego, a przy okazji informacja o planach im-prez Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych, którym prof. Strychalski kieruje. Pochwała Klu-bu Stowarzyszenia Ateistów i Wolnomyślicieli, który prowadzi ożywną działalność odczytowo-dyskusyjną itd. itd. Przyznajmy szczerze, że to niepełne jeszcze zestawienie jest prawdziwie impo-nujące. Można wprawdzie kręcić nosem nad tematyką, nad pro-

porcjami, nad brakiem tego czy owego. Ale przyznajmy: w opisy-wanym tygodniu można się było nauczyć w Piotrkowie wielu cie-kawych rzeczy. A przecież jest jeszcze codzienna działalność Do-mu Kultury, trzy kina (z których co najmniej jednego można Piotr-kowowi zazdrościć) wyświetlają fil-my przeciętnie tak samo nowe jak w Łodzi. A przecież popularny koncert symfoniczny Orkiestry Państwowej Filharmonii Łódzkiej pod dyrekcją Stefana Marcyka z solistą Bernardem Ladyszem zgromadził na dwóch koncertach odbywających się w pięknej hall sportowej dwa tysiące ludzi! Nie-co wcześniej w sali Filharmonii Łódzkiej koncertu orkiestry ze Skopje pod dyrekcją znakomite-go, światowej sławy Igora Mar-kewitcha wysłuchało 300 osób. I to - przyznajmy - zestawienie jest nieco dla nas kompromitujące.

Telewizja katowicka transmituje na całą Polskę rewelacyjny we-dług zapowiedzi spikera program rozrywkowy „Przy sobocie po robocie”. Ta ogólnopolska impreza była niczym innym jak kompromitująca „powiatową chaftura”. A cóż w tym samym czasie działo się w „powiecie”. Popatrz, czy-telniku, wyżej. Warto czasem wy-chylić nosa poza rogatki.

MAW

MARIA z CZARTORYSKICH  
Ks. WIRTEMBERSKA

Rok 1816

## MALWINA czyli DOMYŚLNOŚĆ SERCA

Ranek najpiękniejszy najpogodniejszy dzień obiecywał. Gęste krople rosy lśniły się na listkach ziół i kwiatów, którym blasku i świeżości dodały. Powietrze było uwionione kwiatem pomarańcz, do których lekki zapach mirtu się mieszał. Skowronki, w górę wznosząc się, i ziemię na gałązkach radośnie zorzę witaly, pszczoły brzęczały koło kwiatów, rybki skakały w wodzie. Z daleka słychać było wesołe śpiewy oraczów i ryk trzód na pasze wychodzących. Cała natura budziła się zdawała, by nowych używać rozkoszy. Ale powszechna ta radość, zamiast coby ją miała rozzerwać, boleśniej jeszcze serce Malwiny ścisnęła. Ach! nigdy skryte troski boleśniej się nie czują, jak w pośród okazałości szczęścia, lub w gronie zabaw i bolesci!

Malwina zadumana, patrząc na tę piękną krajinę, w zamyśleniu oparła się o duże pomarańczowe drzewo, które kwiatem obsepiane było. Wtem lekki wietrzyk zawiał, i białe listki tego kwiatu, jakby śnieg gęsty, całą Malwinę okryły. Ach, niestety, pomyślała, ten rodzaj kwiatów później od innych się rozwija, najpóźniej opada – niedługo i liście opadają zaczyna, niedługo jesień nadejdzie! o jakże przedko to lato minęło!

Schodząc potem z tarasu, Malwina weszła na wał, który panował nad brzegiem lączy, zdobył ogród i razem bronął od szkodliwych wylęgów. Lawka, stojąca pod rozłożystym kaszlanem na końcu wału, wabiła ku sobie. Widok na lące, na kępe, i krajinę najpiękniejszą, szczególnie to miejsce miłym czyniły.

Dziwią się czasem, gdy zakochani szczególnym jakimś szczęściem zawsze trafnie znajdują się tam, gdzie mogą choć na chwilę ujrzeć cel swego kochania. Nie czarami to się dzieje, i należałoby zaprzestać temu się dziwić. Łatwą jest rzeczą do pojęcia, że ci, co jednostajnymi myślami są zajęci, równie polekają działają. Ludomir jedynie Malwiną zajęty, jak ona podobnie nim, ze światem także był wstał i wyszedł był do ogrodu, by myśleć o niej swobodnie. Usłyszawszy jej głos, przybiegli od niej niepostrzeżony; lecz jak przestała śpiewać, Ludomir z

nadto już pełnym sercem, by rozum najmniejsza mógł utrzymać przewagę, straciwszy głowę zupełnie, padł do nog Malwiny, i nic innego nie mógł wymówić, jak: przestraszyłem cię Malwino! ach daruj!... wybac... ależ bo ja tak nieszczęśliwy!... Malwina zlekioną, zmieszana, oniemiała. Serce jej tyłu przeciwnościami w ten moment było miotane, że sama nie wiedziała, co ma odpowiedzieć; ale oczy podniosła na Ludomira, postrzegła wyryty na jego twarzy takowy wyraz żalu i cierpienia, że ten słaby cień gniewu, który między innymi uczuciami z jego raptownym zjawieniem mignął się w jej myślach, zniknął zupełnie, i nic innego w sercu nie zostało prócz najłagodniejszej litości. Zamiast wyrazów gniewu, śpiesznie wyrzekła: – O nie bądź nieszczęśliwym! to najbardziej wytrwać bym nie mogła. Te kilka słów wymówiwszy, zaploniona i zmieszana, twarz w welum schowała i rzewnie zaczęła płakać. – Malwino uwielbiona! Aniele dobroci, rzekł Ludomir nie płacz... ach nie płacz nigdy... ostatnia kropla krwi mojej radbym odkupiła każdą łzę, która wylewałaś. Hałas z przyczyny nadchodzących osób, które z daleka usłyszeli, przerwał tę rozmowę. Malwina z pośpiechem wstała, Ludomir zatrzymując ją, z najczulszym dołożył rozrzewnieniem: Malwino, na wszystko, co ci tylko jest drogim w świecie, zaklinam cie, nie porzucaj mnie, nie zostawij z tą myślą tak okropną, żem cię obraził. Przez litość przynajmniej; bo nie możesz pojąć, nie pojmiesz nigdy, co to jest śmieć ciebie kochać, nie mając nigdy nadziei być od ciebie kochanym!

Malwina w ten moment tak żywo w sercu czuła, ile Ludomira kochała, że nie mogąc pojąć, by om się tego nie domyślał, to słowo: Niewdzięczny! z ust jej się wymknęło, a słysząc coraz bliżej nadchodzące osoby, czas miała tylko najspieszniej uciec, welum swój łzami jej jeszcze zmoczony, w tym pośpiechu zapomniawszy. – Niewdzięczny! z niewypowiedzianym uczuciem powtórzł Ludomir i chwyciwszy welum Malwiny, do serca go przyciskając, rzekł z zapalem: chyba z życiem go stracę.

ZOFIA NAŁKOWSKA

Rok 1925

## NARZECZENI

W majowy dzień – podobny do mnóstwa innych pogodnych majowych dni – Kotezka przy szła, jak zwykle, do znajomego malarza – w wielkim sekrecie przed mamusią, która byłaby się bardzo o to na nią gniewała (do malarzy bowiem chodzą same tylko kobiety, stworzone do miłości. Kotezka zaś była stworzona do tego, żeby wyjść za męż). Przedtem było zimno, jak w jesieni, a wtedy, w ów dzień majowy, zrobiło się nagle i niespodziewanie tak ciepło, jak w lecie – do tego stopnia, że Kotezka wyszła na ulicę do „figury“.

Gdy przyszedła do znajomego malarza, zgrzana była i zmęczona okropnie, bo wbiegła prawie na czwarte piętro więc przed pozowaniem chciała jeszcze odpocząć i usiadła na sofie, wachlując się rękawiczkami. W drugim kącie sofę usiadł malarz i rozmawiał sobie o różnych rzeczach, między innymi o tym także, że Kotezka ma takie silne rumieńce, jak nigdy dotąd – i że dobrze byłoby właśnie tak ją namalować, bo rumieńce ślicznie wyglądają przy takich, jak u Kotezki, burych włosach.

I wtedy Kotezka uczuła, że zamiast ochłonąć w tej wielkiej, chłodnej pracowni, do której nigdy nie dochozi słońce, mdleje prawie z gorąca. Coraz nowe rumieńce wybiegły na jej twarz i pierściami uchwycić nie mogła oddechu.

W nieusprawiedliwionym przerażeniu zerwała się z sofę, chociaż nie jej nie groziło. Malarz patrzył na nią trochę wesoło i trochę ze zdziwieniem. A Kotezka nagle zawstydzona i tego, że jej tak gorąco, i tego, że jest wysmukła i zgrabna i giętka, jak prawdziwa kotezka, i tego, że jej sukienka jest za obcisła (to okropne, że mamusia tak zawsze kaze przestrzegać mody) i wszystko widać...

I wstyd ten był tak silny, że stał się podobny do bólu – i Kotezka wszystkimi swymi siłami wstrzymywać się musiała, by nie krzyknąć i nie płakać, tupiąc nożkami, i twarzy nie ukryć w aksamiłnych poduszkiach sofę, – albo nie skoczyć do malarza i nie ugryźć go ze złości.

ci w szyję, mocno, strasznie, do krwi, jak podobno czynią prawdziwe kotezki. I pragnęła skurczyć się tak, żeby jej wcale nie było widać, albo spaść przedko pod ziemię – tak okropnie się tego wszystkiego wstydziała, tak okropnie bała się, ponieważ nie, ale to nic nie mogła zrozumieć. Czula tylko, że jeżeli stąd nie ucieknie, to stanie się coś straszego – wiedziała na pewno.

– Nie chcę pozować dzisiaj – rzekła do znajomego malarza. – Takie ładne słowne na dworze – chodźmy lepiej na spacer!...

Malarz był zdziwiony – nie rozumiał i też trochę się lekkał. W owym czasie przychodziła do niego w godzinach kiedy nie było Kotezki, młodzieńka, ładna, biedna szwaczka, która wcale nie marzyła o wyjściu za męż. A do Kotezki nigdy nie przychodził... I dlatego malarz nie rozumiał Kotezki.

Ale zgodził się od razu, tylko spojrzal na nią dziwnymi, trochę jakby smutnymi oczyma.

Kotezka wypadła z pracowni na schody, jak umiała najprędzej – i okropna trwoga opuściła ją w jednej chwili.

Za to gdy obejrzała się za drzwi, które malarz teraz na klucz zamykał, w oczach jej stanęły dwie wielkie łzy, lzy natury. Sama nie wiedząc czemu, pełna dziwnego jakiegoś żalu – zawróciła się nagle, z drogi usunęła malarza, otworzyła drzwi i w ciemną głąb chłodnej, wielkiej pracowni rzuciła z rozmachem pęk białych tulipanów, które niosła w ręku. Poletniały daleko, przez całą długość pokoju i upadły aż na sofę, duże, ciężkie, białe, wiosenne tulipany. I widziała je błyszczące tak w cieniu, jak w grobie. I zatrzasnęła drzwi.

KLEMENTYNA z TAŃSKICH  
HOFFMANOWA

Rok 1825

## Dziennik Franciszki Krasińskiej

Mam że wierzyć temu, co się stało? temu, co się stanie? Ja, Franciszka Krasińska, nie żadna nawet księżniczka, ja będę żoną królewicą, księżną Kurlandzką, a może kiedyś i czym więcej?... ja, tak od niego kochana, że dla mnie zapomina o ojcu, o nierówności stanów naszych, o wszystkim. O Boże! mocny Boże! czy tylko mi się to wszystko nie śniło? Prawdą to, żeśmy pojedochali dziś wszyscy po obiedzie do zwierzyńca. Księżna, wchodząc na schody, że stała, i została w pałacyku musiała z panną respektową, która zawsze i wszędzie z nami, a księżną, ona i ja poszliśmy chodzić po lesie: książę Marcin zatrzymał się, żeby pokazać księciu wojewodzie przygotowania do łowów, królewicę powiódł, że chodzić woli, i wziął mnie pod rękę. Długo milczał, jam dziwiła się temu, bo zawsze wiele zwykł mówić, zechodniej też ze mną; narzeczcie zapytał się: „Czy nigdy zrozumieć nie zechcę, do kogo on tu przyjechał i po co?” Zwycajam moim odpowiedziałam: „Ze zapewne do księcia Marcina, dla zabawy polowania, która tak lubi”. A on już ani tając się, ani dwuznacznie tłumacząc, jak naj-

wyrażniej oświadczył: że przyjechał jedynie dla mnie i po szczęście całego życia... Zdumiałam się na te słowa. „Gdzieżby to być mogło – wyrzekłam – Księżna, czyż zapominasz, czym jesteś, czym być możesz? Królewicę dla ciebie...”. „Ty królową moją, – zawołał z zapalem – tyś naprzód wdziękami zajęła te oczy, a potem skromnością i cnotą opanowałaś serce. Nawykłem do tego, że mnie szukały inne kobiety, skorom przemówił do nich. Ty jedyna, luboś mnie może więcej od tamtych kochała, unikałaś mnie zawsze, zgadywać trzeba było, co czujesz. Tyś godna pierścienia tronu świata, i jeśli królem polskim być pragnę, to tego najwięcej, bym to piękne czoło koroną uwienczył...”. Jakże ja nie mam myśleć, że mi się to wszystko śniło? ...Kiedy osłupiała, odpowiedź znalazła nie mogłam, księżna zbliżyła się do nas. „Was i niebo biorę za świadków, wyrzekł królewicę, jako innej żony mieć nie chce, tylko tę Franciszkę Krasińską, stojącą tu przed wami; dla okoliczności łatwych do zrozumienia żadam sekretu do pewnego czasu; wy tylko o miłości i szczęściu mojem wiedzieć be-

dziecie, a kto mnie wyda, za nieprzyjaciela go pozyczam...”. Księżna mu się kłaniać zaczęła, mówiąc o wielkim zaszczytku, zapewniając, że ukryją tajemnicę; szeptała mi oba do ucha: „Godnaś tego!” i nieznacznie odeszła. Jam jeszcze stała zdumiona, ale naresze trzeba było oczywistości: uwierzyłem, trzeba było odpowiedzieć czulym królewicę wyrazem, musiały nawet wymówić, że go kocham i to od dawna; i zdaje mi się, żeż można uczynić takie wyznaczenie przyszłemu mężowi. Mężowi? znowu odchodzić od siebie; czy nie czary to jakie?... Ale co słyszę. Pólnoc bić będzie na zamkowym zegarze, jeśli to sen, albo czary, mówią, że moc ich o tej godzinie się kończy i znika... Słuchajmy... Już wybiła dwunasta, a nie skończyło się szczęście moje, nie znikła wielkość... A ten pierścionek odmienny coby znać? Miałam od Basi pierścionek ze złotego węża, w Sulgostowie mi go dała; uważał go królewicę: taki sam zrobić kazał, wyrzyło w środku „na wieki!” i wziął mój, a ten mi włożył. Tych skromnych zaręczyn narządków drzewa i słowki jedynymi świadkami były...

MAGDA LEJA

Rok 1959

## HISTERYCZKA

Pierwszy raz kochali się nad Wisłą. Wtedy lubiła już, żeby ją całował i dotykał, sama lasiła się. Znieruchomiała, gdy odgarnął jej z kolan spódnice. Zabawa trwała długo i coraz szerzej obejmowało ją niespokojne poczucie własnego ciała. Chciała o coś zapytać (właściwie, o co, jak?), popatrzyła mu w oczy. Wtedy ją wziął.

Młoda topola nad nimi drżała i mieniła się w słońcu. Barbara leżała długą chwilę, zanim powrócił do niej wstyd i przykryła nogi spódnica. Pocałowali się.

– A dlaczego? – zapytała po chwili – dlaczego nie od razu?

– Widzisz – mówił Marek – bo pierwszy raz to bardzo ważne. Gdyby było więcej bólu niż szczęścia, mogłabyś mieć uraz na całe życie.

Było więcej szczęścia. O tym jeszcze mama nie wiedziała, ale później Barbara zaczęła się wymykać, zostawiając na stole lakoniczne zawiadomienie: Wróć jutro. Nie denerwujcie się.

Do małego pokoiku na Wspólnej wchodziło się przez skrzyplacę, ciemny korytarz, zastawiony jakimś szafami, wózkami, balia. Właścicielka mieszkania wystawiała ondulowany, nastroszony łeb i mamrocąc chowała się z powrotem.

– Słuchaj – szeptała Baśka Markowi – to jest chyba głowa na kij? Nie-możliwe, żeby człowiek miał taką głowę.

– Ma nie tylko głowę, słowo honoru.

– To jaka może być reszta? Barbara parskała śmiechem i zapadła w głęboki fotel, który witał ją tumanem kurzu.

Bardzo dobrze czas upływał na Wspólnej dzielony pomiędzy miłość i gadanie. Powoli uczyla się naturalności, zadawała dziesiątki pytań, czasem rozdziły się z nich długie dyskusje nieomal o wszechświecie.

– Ty jesteś anarchista – mówiła, niezbyt pewna historycznego słowa.

– Marek zdawał się dumny, ale pokrywał to pobłażliwym uśmiechem.

– Usiądź mi lepiej na kolanach. Różowy krąg maszyny świecił w kącie (pokój na Wspólnej był w gruncie rzeczy wilgotną dziurą), Baśka siedziała na stole naga. Nie pozwalał jej się ubierać.

– Nie wstydź się – mówił – księżniczko. Niczego człowiek nie powinien się wstydzić.

– Ale...

– Jesteś bardzo ładna, taki koźlaczek.

– Ale...

– Nie wolno ci się wstydzić. Ty się nie wstydzisz zresztą, inaczej byś kochała. Chcesz zachować pozory, tak? W końcu sama doszła do wniosku, że ubieranie się byłoby tylko stratą czasu.

Stanisław Kaszyński

# KOBIETA W TEATRZE

dalszy ciąg ze str. 1

— jak twierdzono — miała być kobieta-aktorka), nawet kiedy to kobiety zdołały utrwalić swą pozycję jako wielkie heroiny tragedii czy divy baletu i opery.

Prześladowania teatru przez Kościół za pomocą kłatw, ekskomunik i indeksów, objęły całą Europę. W XVII w. w Niemczech zabroniono aktorom przestępować próg świątyni. Zdarzało się też inaczej: słabość królów i książąt do teatru, czy raczej do pięknych dam, paraliżowała surowe werdykty kleru lub purytanów. Znośniej tylko było we Francji, do czasów „Świętoszka” Moliere’a. Aktorzy mogli „nawet” być ojcami chrzestny-

sił ją do stołu, wiele akademii wybrało ją na honorowego członka, z Paryża powracała do ojczyzny z własnoręcznie napisanymi przez króla Henryka IV i jego żony listami, wreszcie historyk Pierre Matthieu odnotował: „W Grecji stawiano by jej pomniki”.

Wejście kobiet do teatru miało w efekcie donioślejsze konsekwencje — odbić się musiało na repertuarze. Ich obecność wpływa teraz silnie na kompozycję sztuk, trzeba je przecież uwzględnić, wnoszą inny żywioł, inną naturę, inne widzenie świata. Znikają pieprzne farsy, ordynaryjny dowcip i dwuznaczna sytuacja ustępują miejsca finezji scen komediowych, a następnie tragicznych. Po tancerce i śpiewaczce przychodzi kolej na aktorkę dramatu. Najpierw jest „nawina”, począ-

berg. Gdzieś w połowie XVIII wieku przychodzi za kulisy pierwsza Słowianka. Późno, bardzo późno, bo w połowie następnego wieku, cesarz Japonii, Mikado, godzi się na występy pani Sado Vacco, ba, ale za listem protekcyjnym królowej Wiktorii.

Szturm szedł zatem frontalnie. Dość zawzięcie bronili się opera, angażująca od dawna kastratów. Sprzeciw wobec eunuchów-śpiewaków w partiach kobiecych rozpoczął się na dworach książęcych, rozprzestrzeniając się na inne teatry operowe. Innym niebezpieczeństwem dla rozwoju teatrów narodowych był wszechpanujący kult tancerki i śpiewaczki włoskiej czy francuskiej. Znamy to doskonale z własnej historii, odczuli tę modę nasi sąsiedzi. W tym Niemcy. Fryderyk Wielki uważał, iż tylko córy Poludnia potrafią śpiewać i tańczyć. Zamilczmy, jak odbił się ten snobizm na szkatułach. Wzory francuskie i włoskie zakorzeniły się głęboko na scenach wielu krajów, tkwiły silnie w upodobaniach estetycznych elit i ogółu. Honorowe miejsca nadal rezerwuje się dla tancerki i śpiewaczki, dla nich zastrzeżone są słodkie rejonu sławy, one posiadają najobfitsze dossier w „chronique scandaleuse”. Tak jest zwłaszcza w pierwszej połowie XIX wieku, gdzie namietność do teatru wyraża się w osobistym kulcie artystki. Pepita de Oliva, Fanny Elssler, Maria Taglioni, Catalani, Henrietta Sonntag... te nazwiska powtarza się w buduarach i salonach, cytuje się je w korespondencji dyplomatycznej, echem wspomnień zabarwiają pamiętniki i listy dostojników wczesnego ranku. Były przecież metresami en titre możnych i panującymi, wprawiały w oszolomienie elegancją i wykintem toalet — ich kreacje, sposób poruszania się i przyzwyczajenia wyznaczały kierunki mody — tyranizowały kaprysami i zachciankami dyrektorów. Bywały na koniec boryszczykami tłumów. Kiedy z początkiem XIX wieku przyjechała do Włoch śpiewaczka Catalani, rozczarowani wysokością ceny biletów plebejusze ułożyli następujący wierszyk:

Moja pani Catalani,  
Bardzo droga jesteś pani,  
Dla jednego tra-la-la,  
Dość byłoby talara.

lizacji materialnej aktora i — traktując zjawisko en masse — bardziej obcesowawcy, niż to przeciętnie bywało, bo opieprzający się na innej konwencji styl życia aktorskiego. Kobieta, sprężynowana przez zawód i inne związki z tym środowiskiem, musiała znosić mniej czy bardziej sprawiedliwe oceny i komentarze dalszego czy bliźszego otoczenia. Lecz jaka była wtedy obywatelność w ogóle, skoro sam wielki d'Alembert napisał: „Będziemy mieć więcej skromnych aktorów, jeżeli skromność będzie w wyższej cenie”, proponując odznaczenia państwa we dla prowadzących się cnotliwie aktorki. Jeszcze w początkach XIX wieku aktorki teatrów wiedeńskich były przyzwyczajone do podpisywania umów w przedmiocie „wykorzystywania swojej piękności na określony czas” — „Nutzniessung ihrer Schönheit auf eine bestimmte Zeit” — jak podał historyk.

Prawda, to są fakty sprzed dwustu czy stu lat, ale jeszcze w ub. wieku w Polsce czy w Austrii małżeństwo z aktorką świadczyło o wolterianizmie delikwenta. Pewien np. wiedeńczyk, ojciec 15 dzieci, nie pozwolił swojej córce wyjść za mąż za komedianta Raimunda, nietuzinkowego pisarza teatralnego.

A jak bywało w Polsce? Początki teatru publicznego są już coraz lepiej znane z raportów saskiego szpiega, z meldunków złośliwych, jakże jednak pyszych, wiemy że król Stanisław August Poniatowski organizując scenę polską, angażował zespół, rzecz prosta, mieszaną. Szpieg Jan Heine donosił w tej okoliczności: „Bede się dowiadywał o aktorów i aktorki, kim są. Jedną z ostatnich, wcale nie najlenszą, to młoda Łowczwińska, która uciekła od męża, rzeczwyście bezczelna fadra o jedrnych piersiach i porządnych, jednakowo biegła w sztuce zaletności i zgrabnego przebiegania nóżkami... Przyszłe polskie aktorki — relacjonuje pod datą 9 października 1765 roku — mają... swoją własną łóżę, aby ich (aktorek francuskich) zwrot i postawy obserwować. Wyznaczono również każdego po 2000 zł pol. rocznej pensji. Są już dwie niczego sobie niewiasty, które odbiegły swoich mężów i za które płaci się kwatery”. Kilka dni później: „Do bandy polskich komediantów przyjęto również pewną Czartoryską. Musiała jednak zmienić nazwisko na Czartyńska, ina-

Elżbieta Drużbacka

## NA OBRAZ PŁACZĄCEGO KUPIDYNA I SMUTNEJ WENERY



Cóż się to z tobą Kupidynie dzieje,  
Gdy płaczesz na to, że cię ogień grzeje?  
Wszak miłość, której synem cię nazwali,  
Nie wodą chłodzi, ale ogniem pali.  
Nie masz co chwalić tej w tobie odmiany,  
Krytycznej za nią godziene nagany:  
Chcąc łzami zalać takowe płomienie,  
Co im przeciwne zimnych wód chłodzenie.  
Nie wiem kogo z was winić w tej intrydze,  
Gdy twarz Wenerę w smutnej minie widzę,  
Kupido płacze, ta oczy odwraca,  
Próżna z amorów waszych taka praca.

mi czy świadkami przy zawieranych ślubach.

— Ale cofnijmy się jeszcze do średniowiecza. W tym okresie nie widzimy kobiety zupełnie, czy też prawie zupełnie. Matkę Boską i święte w misteriach grają gotowaci chłopcy. Jednak od czasu do czasu kobiety pokazują się; nieśmiało, z dużym oporami zwierzchników duchownych. Najpierw amatorki, i przede wszystkim w krajach romańskich, na południu, gdzie temperamenty grały bardziej żywiołowo, a swoboda życia kobiet była większa niż na północy.

Ojczyzną świeckiej aktorki są Włochy, miejsce narodzin wspaniałej commedia dell'arte! Już się domyślamy: to Colombina, zwycięska, namiętna, zuchwała Colombina! Odtąd każda trupa, włączając się po miastach i miasteczkach znajdowała w żonie czy córce swego pryncypala „Kolombinke”. Jeszcze jedno nazwisko — włoskiej sceny renesansowej: Vittoria Fioretta ze słynnej trupy Gelsi — współczesni nazywali ją „boską”, była wielką amantką, „grande amatrice”. Kiedy król francuski Henryk III, zjechał do Wenecji, sprowadzono tę kompanię gwoli uświetnienia pobytu JKM. Podobala się niezmiernie. Tym bardziej, że Francuzi trzymali jeszcze kobiety z dala od sceny. Gdy zjawili się wreszcie Włosi w Paryżu z przepiękną Isabellą Andreini w 1603 roku, dwór francuski wstrzymał oddech. Już nie było sensu przeszkadzać kobietom. I trzech znakomitych komediantów francuskiej trupy Hotelu de Bourbonne, obawiając się groźnej konkurencji, zaprosili damy.

Wszakże żadna z aktorek, bodaj wszech czasów, nie przeżyła takich triumfów, jak Isabelle. Tasso i Ariosto czcili ją sonetami, mecenas sztuk, kard. Aldobrandini — tego jeszcze nie było! — zapro-

tek XVIII wieku otwiera karierę aktorki tragicznej (debiut Adrienne Lecocqeur w Comédie Française). Róże królowych, księżniczek i nalożnie obejmują kobiety, tylko kwestie kuplerek i służących papla dalej mężczyźni. Kobiety były zapewne rade, pełne złośliwej satysfakcji, widząc władców ziem w takich to podłych kondycjach!

Wprowadzona innowacja musiała dać reakcję łańcuchową: Paryż narzuca kobiety scenie angielskiej, niestety, już po śmierci Szekspira (1616). Jeszcze w 1629 roku obrzucono trupę francuską (z kobietami) w Londynie zgnilymi jabłkami. Ten wielki dramaturg nie widział swej Julii ani Desdemony w niewieściej interpretacji — pierwsza aktorka w roli Desdemony wystąpiła dopiero w 1661 roku. Wprost nie do wiary, ale prawdziwe. Zresztą cóż — na tej samej wyspie narodził się człowiek, który w 1632 roku napisał najohydniejszy paszkwil wszystkich czasów przeciwko teatrowi. William Prynne („Historio mastix”), według którego: „teatr to sprawa Belzebuba, miejsc rozpuszty, stręczycielstwa i kłamstwa, występowanie kobiet — szczytem bezwstydu”. Niestety, Mr Prynne zagalopował się diablo: obraził dwór i królową, która nader gustowała w maskaradach. Za obrazę Majestatu został pozwany przed sąd i skazany na prelegz, obcięcie obu uszu, utratę godności akademickich i karę pieniężną. Kat natomiast spalił publicznie rzeczone opus. Teatr został pomszczony.

### A GDZIE INDZIEJ?

Pod koniec XVII wieku kobieta podbija teatr niemiecki. Niebawem też pojawia się na deskach niemieckich nawet pierwsza szlachcianka, Sara von Bor-

Maria Pawlikowska-Jasnorzewska

## STRACH



zmęczyłam się charlestonem ach chodźmy odpocząć  
wśród parawanów chińskich gdzie się smoki droczą  
o tu na tych poduszkach pod tym abażurem  
lecz o czym pan rozmyśla w milczeniu ponurem  
pan tak pobałdzi i oczy ma pan jak ze stali  
Boże on chce mnie objąć tak jak tam na sali

Kazimiera Zawistowska

## TOBIE

Daj mi sny swoje — daj ten sen skrzydlaty,  
O mnie prześlony! Ja chcę duszą własną  
W jego zwierciadle ujrzeć cichą, jasną,  
Rozkołysaną jak mgły srebrnej kwiaty.

Wprowadź mnie jeszcze w kryształne zaświaty,  
A tam twą dłońą poruszone smutnie,  
Niech się rozdziewiczą wszystkie ściche lutnie  
W ów akord, nagle zerwany przed laty...

Wówczas mnie ujrzysz raz jeszcze wyśnioną,  
Raz jeszcze wszystkie, pogasłe w ukryciu,  
Perły mej duszy tęczożo zapłoną —

I jedną cudną dam ci chwilę w życiu,  
Chwilę jedyną — bo potem w noc ciemną  
Pójdę, byś nigdy nie spotkał się ze mną!

To pośrednia aluzja do ówczesnych gaź, o których lepiej nie mówić. Ow kult artystki czy muzyka-wirtuozka, znamienny dla epoki romantyzmu, niewiele miał wspólnego z prawdziwym szcunkiem dla sztuki i nie obejmował wszystkich rodzajów aktorstwa. Aktorki dramatu — dla przykładu — nie dzieliły tej sławy ani też bogactw, co zresztą przetrwało po trosze po dziś dzień, może i ze względu na lokalno-narodowy charakter ich specjalności. Tak było przynajmniej do drugiej połowy XIX wieku, do wystąpienia takich heroń i lwic sceny, jak Felix Rachel, Adelajda Ristori, Sarah Bernhard, Helena Modrzejewska, Eleonora Duse.

Co najmniej od Ibsena, kiedy to wkroczyła na scenę wielka problematka społeczna — emancypacja, prawo do miłości i szczęścia, do wolności podejmowania decyzji — a zatem w ciekim wyrafinowanym dramacie psychologicznym, miejsce kobiety-aktorki staje się nieźmiernie doniosłe; oddanie tych ról wymaga subtelnych środków wyrazu i bezbłędnie opanowanego rzemiosła. Popycha aktorki dramatycznej zostaje raz na zawsze utrwalona.

Choć ugruntuje się znaczenie teatru w społeczeństwie (szczególnie od czasów Oświecenia) jako instytucji użytecznej pod względem wychowawczym, to jednak stosunek niektórych warstw do ludzi wykonujących ten zawód pozostaje nadal dość nieufny, chwiejny, obwarowany szeregiem zastrzeżeń i balamutnych insynuacji. Niechętnym okiem spoziera w stronę ramy mieszczaństwo — odnosi się to do XIX wieku, lecz jeszcze dzisiaj nie wszyscy mają klarowny pogląd na sprawę. Postawę tę określały z grubsza dwa momenty: brak stabi-

kiej nie otrzymałaby miejsca ani roli”. Werbunkiem zajmował się w ostatecznej instancji nawet brat królewski, Kazimierz Poniatowski; miał namawiać gorąco do aktorstwa „piękną żonę adwokata nazwiskiem Barszczyna”, niestety, bez rezultatów. Przepiszmy jeszcze uwagę o ich grze w tej pierwszej sztuce „Nadreci” Józefa Bielowskiego: „Dwie od szlachectwa i mężów zbiele aktorki miały grać swoje role nieco lekliwie, ale w gruncie rzeczy dość dobrze”.

Tak wylądował start, takte towarzyszyły opinie debiutom Polek, które odważyły się zostać aktorkami. Pod koniec wieku jest już ich spora, biorą się nawet do prowadzenia teatru wedrownego; tą pierwszą directrissą jest Agnieszka Truskolaska, a jej córka, Józefa Ledóchowska budzi zachwyt jako tragiczka. Dokładnie w roku 1800 wydarza się fakt nie byle jaki: nad trumną aktorki w kościele wygłasza kładz kaliski mowę pogrzebową, sławiąca zasługi teatru i użyteczność, powagę, doniosłość aktorskiego zawodu. Trudno, i to w skali europejskiej, o gest równie odwagi. Te początki nie są najświetniejsze: polska aktorka, zwłaszcza ta z prowincji, boryka się z niedzą, walczy przeciwko pogardzie, okazywanej jej stanowi. Byna wielbiona przez parady i łożę, przechodzi do wierszy, ale bywa i sprzedawana przez dyrektorów...

Jeszcze Stefan Jaracz przypominał społeczeństwu i aktorom tę drogę wiodącą z dna. Blaski i cienie są substancją życia i sztuki. Jeśli tak jest w rzeczy samej, prawda ta wybyskuje raz po raz upadkiem i wzniosłością dzieł aktor-ki.

(Fragment przygotowywanej książki)



MONICA VITTI

GWIAZDY  
 patrzą  
 na  
 nas

Ludzie stwarzają gwiazdy, które potem nad nimi panują. Panują oczywiście w sposób jaki przystoi gwiazdom czyli młodzieńczo i z wdziękiem. Mowa, jak nie trudno się domyślić o gwiazdach z tej ziemi czyli gwiazdach filmowych. Jak wszystko co ziemskie panowanie tych gwiazd jest przemijające. Prawa rządzące ich kosmosiem odbijają nasze gusty, upodobania, skłonności. Dlatego też warto z okazji kobiecego święta zastanowić się głęboko i wnikliwie nad tym, jakie nam dzisiaj przyswiecają gwiazdy, abyśmy mogli wiedzieć jak w najbliższej przyszłości wyglądać będą tzw. rzese niewieście, czyli jak przedstawia się najmłodniejszy, najbardziej „wyszlizowany” typ kobiety Anno Domini 1984.

Problem jest niezwykle skomplikowany. Niemniej, bystre oko badacza dostrzeże pewne oznaki wskazujące na zasadnicze zmiany dokonujące się w modelu idealnej kobiety. A więc daje się zauważyć wyraźny spadek popularności kociaków młodzieżowych i sex-bomb. Widocznie warunki pokojowej koegzystencji wpłynęły ujemnie na wartość bojową tych ostatnich. W każdym razie passa na sex-bombę minęła. Co bardziej przedsiębiorcze z nich zorientowały się w porę i czym prędzej zmieniły genre. Najwięcej sprytu i kto wie czy nie talentu okazała Sophia Loren i z sex-bombą przeobraziła się w pospiesznie w aktorkę i to wcale niezłą. Gorzej wiodzie się Lollobrigidzie, której jakoś nie mogą pomóc nawet role kobiet niedających i opuszczonych. Swoją drogą osobiście metamorfoza ongi „najpiękniejszej kobiety świata”. Stopniowo znikają z ekranów różne Marlene Carol, Mangano, Pampanini. Nawet o Aniele Ekberg nie jakoś ostatnimi czasy nie słychać. Może i ona sykuje się do jakiejś roli tragicznej a wprost!?

Kryzys popularności przeżywa też największy kociak wszech czasów: Brigitte Bardot. Wprawdzie skandalizuje ona jeszcze opinię publiczną ale z coraz gorszymi skutkami i przerzuca się ogłotnie

na role charakterystyczne. Exemplum: „Czarująca idiotka”. Dziewczęta naszej planety przestały się już zresztą robić na Bardotkę lub Pascale Petit. A czy ktoś z was jeszcze pamięta Pascale Petit, Françoise Arnoul albo taką Rossanę Podestę?

No dobrze, a jakie były — zapytacie — gwiazdy roku 1983? Trzeba z ubolewaniem stwierdzić, że rok ten nie przyniósł nam, niestety, żadnych większych rewelacji w tej dziedzinie. Utrwalił jedynie dotychczasowe pozycje i tendencje. Trudno, moje panie, przemienić z wiatrem sex-bombę i kociak, nadszedł czas kobiet dojrzalszych ewentualnie dziewczynno-zjawisk. Zaczynają więc od tych ostatnich, jako że należą do fenomenów najtrudniejszych do realizacji w tzw. codziennej rzeczywistości. Natomiast na ekranie reprezentuje je w sposób niepowtarzalny Claudia Cardinale. Kariera tej gwiazdy jest dosyć osobliwa. Cieszy się ona znacznym powodzeniem wśród najwybitniejszych reżyserów filmowych. Występowała w najciekawszych filmach roku (m.in. „Osiem i pół” Felliniego oraz „Lampart” Viscontiego). Cardinale nie sposób zaliczyć ani do kategorii wampów, ani sex-bomb, ani kociaków ani wreszcie do kategorii kobiet interesujących. Byłoby też lekką przesadą twierdzić, że jest ona aktorką z prawdziwego zdarzenia, to znaczy że robi coś więcej ponad to że się pokazuje na ekranie, uśmiecha i wygłasza kwestie, które jej uprzednio przeznaczył scenarzysta. Wypisał, a reżyser wyuczył. Tajemnicę sukcesów Claudii zdradził, na szczęście, sam mistrz Fellini w swym niezrównanym dziele „Osiem i pół”. Dla bohatera tego filmu, właśnie reżysera filmowego Cardinale uosabia ideał dziewczęca tidwego, świeżego i nieskażonego tchnieniem cywilizacji i zepsucia. Uosabia niewinność, naiwność, prostotę, słowem — poezję. Nawet jej uroda jest kwintesencją naturalności. Przypomina typ hożej dziewczyny, jakich wiele spotkać można pod niebem słonecznej Italii. A jej maquillage, uczesanie, strój podkreślają jeszcze tę prostotę Claudii. Dzięki specjalnemu sposobowi fotografowania, Fellini, uwydatnia w swoim filmie właśnie ten zjawiskowy, trochę nierzeczywisty w dzisiejszym świecie charakter Claudii.

Obok Cardinale dziewczynno-zjawiska, dziewczynno-marzenia zdegustowanych życiem dżentelmenów, wyobcowanej i przeciwstawianej współczesnej cywilizacji, gwiazdą numer 1 jest Monica Vitti — kunsztowny i subtelny produkt tejże cywilizacji. Vitti to przede wszystkim kobieta interesująca. Dojrzała, inteligentna, samodzielna, wyzwolona z wszystkich tradycyjnych „słabości” kobiecych, w każdej płaszczyźnie, a więc także i erotycznej — równorzędny partner mężczyzny. Jednocześnie dziewczęca, wrażliwa i spontaniczna. Fascynująca najpierw swą indywidualnością a dopiero potem urodą. Monica Vitti reprezentuje typ kobiety nowoczesnej w pełnym tego słowa znaczeniu, typ dopiero rodzący się, ale uwaga, drogie czytelniczki, właśnie do takich kobiet należy przyszłość. Przeglądajmy się zatem uważnie pięknej Włosze.

Sekunduje jej dzielnie cała plejada gwiazd, znakomych zresztą aktorek, lecz znów kobiet dojrzalszych o intrygującej, niepokojącej indywidualności. A więc Jeanne Moreau, z każdym filmem odnosząca coraz większe sukcesy i, obok Annie Girardot („Rocco i jego bracia”), czołowa dziś gwiazda filmu francuskiego. Obydwie są specjalistkami od ról tzw. kobiet fatalnych i szerza spustoszenie w sercach mężczyzn, przynosząc im nadto (mężczyznom nie sercom) niechybną zgubę.

Z gwiazdek lansowanych przez „nową falę” utrzymały się na zdobytych pozycjach: Anna Karina, Françoise Brion i Alexandra Stewart („Klimaty”), Roger Vadim jest w trakcie tworzenia trzeciej, po BB i Annette Stroyberg, gwiazdy swego życia — Catherine Deneuve. Odniosła ona znaczny sukces w uroczym komedii muzycznej „Parasole z Cherbourg”. Czując pismo nosem zrezygnowała przeczornie z robienia się pod Bardotkę (co stanowiło kardynalny błąd A. Stroyberg) i zdradza wyraźne inklinacje intelektualne na niekończącą się skłonności do strip-teasu.

Przysięgł nieco blask dwóch najjaśniejszych do niedawna gwiazd USA: Elizabeth Taylor i Natalie Wood. Hollywood na gwałt stara się odświeżyć swe kobiece kadry i za cenę wysokich honorariów powiększa import z Europy.

Zresztą nastąpiło generalne przetasowanie różnych nacji. Anouh Aimé i Marina Vlady święcą triumfy w filmach włoskich, Elsa Martinelli w amerykańskich, Romy Schneider we włoskich i amerykańskich a Kim Novak i Mylene Demongeot w angielskich. Gwiazdy bez większych zakłóceń w kosmosie zmieniają galaktyki.

A co słychać czy raczej widać na rodzimym firmamencie? Gwiazdami roku były chyba Elżbieta Czyżewska (z uwagi na ilość ról) i Barbara Krafftówna (właściwie jedna kreacja ale jaka!). Czyżewska jest pełną wdzięku i inteligentną aktorką, ale czy reprezentuje już jakiś określony typ? Krafftówna stworzyła zaś postać bardzo znamiennej dla losów tzw. kobiety-Polki. Czyż kończyć nasze rozważania (bo o gwiazdach można w nieskończoność). A zatem, do wniosków drogie czytelniczki! Pamiętajcie w tym roku nosi się albo świeżość i naiwna dziewczęcość (jeśli nas na to stać) albo interesująca, fascynująca indywidualność (jeśli takową posiadamy w naszej domowej kolekcji). Bardotki i taplowane głowy — nie! modne!

Po wiekach i wiekach, na toaletkach i wiekach, na toaletkach dam archaicznych znalazł łaseczki szminek, łopatkę do masażu, alabastrowe pudernice, Chłirczy przed tysiącami lat wynaleźli tusz, lakier do paznokci, lakiery do włosów. Olejki różane i mleczko migdalowe są wytworem Persów. A cesarzowa Poppea weszła do historii nie dzięki zasługom dla ludzkości. Wynalazła świetny kosmetyk — młoko ośle.

Eleganckie rzymianki powierzały sobie w tajemnicy przepis na znakomity krem odżywczy: sproszkowane pestki dak tyli zmieszane z mączką z płatków różanych, dodać nieco drobno zmielonego... nawozu krokodylowego! W użyciu były jeszcze inne preparaty: krem na noc z miękiszem chleba albo mydło z koziego tłuszczu.

Różne epoki różnie patrzyły na sprawy kosmetyki. Średniowiecze uczyniło z niej dziedzinę szarlatanów, a niezwykła uroda stanowiła wręcz niezbędność dla życia. Uważano bowiem, że można ją otrzymać tylko... w wyniku aktu z szatanem. Roko odrodziło zabiegi kosmetyczne — lecz w wynaturzonej, oderwanej od higieny postaci. Popularnym przyrządem stają się drogie cenne dra-

paczki, jako że wspaniała i skomplikowana fryzura jest często znakomita kryjówka dla insektów, zaś o Ludwiku XIV, królu — Słońce, wiadomo, iż kapal się jedynie na wiosnę...

Czym jest kosmetyka dzisiaj? W epoce, kiedy wielki przemysł kosmetyczny zatrudnia tysiące naukowców? Kiedy co tydzień inna fabryka wypuszcza inny krem, lakier, szminek, tusz? Kiedy telewizor, radio i gazeta reklamują naj-

nowsze preparaty i środki kosmetyczne? Codziennie wieczorem uprzejmy spiker radiowy przypomina mi o obowiązkach Rękanej Pani: „Piękna Pani używa tylko maseczki ziołowej „Herbapol”.

Niestety, pomysły reklamowe nie informują kiedy nakładać krem, robić masaż, manicure, kiedy chodzić do fryzjera, kiedy kłaść kompresy na oczy i kiedy szorstkować włosy. Nie-

dzisiejsza kobieta to nie cesarzowa Poppea. Kobieta współczesna ma pracę, dzieci, obowiązki zawodowe, społeczne, rodzinne, pranie, kolejki i narały produkcyjne.

Jesteśmy więc świadkami rozdźwięku między obowiązkami a obowiązkiem zachowania młodzieńczej. Co z tego, że maseczkę „Herbapol” produkują się w piętnastu różnych rodzajach. Każda normalna kobieta uważa za nierealne, ażeby trzy razy w tygodniu, na go-

podarstwo lub chodzić do klubu reńców — nie ma pretensji. Ale co przed tem? Co się dzieje w tym niepokojącym okresie od 35-40 lat? Co się dzieje, kiedy kobieta spróbuje pierwszy raz, że trzeba zakryć szyję, kleść i puszyć się figura, kiedy pojawiają się zmarszczki wokół oczu, jakiegoś głupiego kępkę włosów na brodzie, skóra staje się nieświeża, ręce pozbawione jedności...

Kobieta żyje dłużej — ale za wcześnie przestaje

potrzeba do tego przykłada Marleny Dietrich, Ingrid Bergman albo Lady Halamy, która ma figurę jak młoda panna. Trzeba tylko podnieść „społeczny rangę” kremu, maseczki, masażu, wizyt u kosmetyczki, fryzjera, gimnastyki — do rzędu spraw pieknie ważnych społecznie. Do rzędu spraw, od których zależy szczęście i dobre samopoczucie każdej kobiety — nawet, jeżeli jest ona dyrektorem wielkiego przedsiębiorstwa. Bo jeśli Pani Dyrektor nie będzie używała na noc kremu — to szyja Pani Dyrektor pomarszczy się bardzo szybko. Niezależnie od zajmowanego stanowiska.

Równouprawienie jest rzeczą wspaniałą — ale pewnych fatalnych, babiskich sytuacji nie można zmienić. I żeby nie wiem co — kobieta młodość jest krótsza. Więc czasem lepiej nawet, żeby ta równouprawność kobieta zamiast na mniej ważne zebranie poszła... do kosmetyczki. I żeby odpowiedzialnie władze zrozumiały, że to nie jest przejaw „zgnięcia mieszczańskości moralności” — ale rzecz istotna z najbardziej ogólnego punktu widzenia. I że w społecznym budzeniu czasu musi się na nią znaleźć miejsce.

W czym — niech nam przyswieca przykład cesarzowej Poppei... EWA

KOBIETA W ŚWIECIE MĘCZYZN  
 Jak być cesarzową  
 POPPEA?

dzinę nakładać ją sobie na twarz.

Oczywiście, w pewnym okresie te sprawy przestają w ogóle odgrywać jakąkolwiek rolę i kobieta dojrzała do sytuacji, w której wystarczy jej pociecha z dzieci lub wnuków, nadto świadomość dobrze przeżytego życia, sukcesy zawodowe lub w pracy społecznej. Jest stara — i osy ulżyły się tak albo inaczej, jest samotna lub otoczona rodziną, prowadzi gos-

funkcjonować jako kobieta, choć jest jeszcze w pełni do tego zdolna z fizjologicznego i psychologicznego punktu widzenia. Po zostaje jej „ciepło charakteru”, „wzloty umysłu”, osiągnięcia zawodowe. Wszystko bardzo piękne — albo i nie bardzo. Bo kiedy ona się kończy, on ma dopiero 45 lat i właśnie zaczyna... drugą młodość.

A rzecz w tym, że naszą krótką młodość można przedłużyć. Nie

„Pan Puntilla”  
 na telewizyjnym  
 ekranie

Z dużą niecierpliwością oczekiwaliśmy pojawienia się na ekranach telewizyjnych zapowiadanej inscenizacji Bertolda Brechta „Pan Puntilla i jego sluga Matti” — jest tym dramatem Brechta, który krytycy uważają za jeden z najlepszych jego utworów, a wśród planów teatralnych telewizji niezbyt często pojawia się nazwisko autora „Matti Courage”. „Pan Puntilla” nie jest w Polsce sztuką popularną, tym większe więc było zainteresowanie tych, którzy dramaturgię Brechta wysoko stawiają wśród współczesnej twórczości scenicznej. Łódzkie przedstawienie, reżyserowane przez Tadeusza Minca, nie sprawiło zawodu wielbicielom Brechta. Wiele ciekawych pomysłów reżyserskich, świetna obsada aktorska sprawiły, że było to widowisko wyraznie wyróżniające się spośród prezentowanych ostatnio premier telewizyjnych. Wygłoszone jednak przed chwilą zdania nie pozwalają jeszcze orzec, co w Łódzkiej przedstawieniu sprawiło, że sztuka ogłotowała się z przyjemnością, co zawazyło na jakości spektaklu. Tym bardziej że najogólniejsze, ale jednocześnie nieodparte przesłanie, jakie wyniosło się z obrządku, do stwierdzenia, że była to inscenizacja pozostająca w pewnej odległości z intencjami Brechta, zdającymi się wypływać z lektury „Pana Puntilla”. Takie przesłanie było wazwym zazwyczaj uważane za zastrzeżenie co do wartości scenicznego odczytania dramatu. Warto więc chyba zatrzymać się na chwilę nad samym przedstawieniem i nad jego relacją do tekstu literackiego.

„Pan Puntilla”, tak jak zresztą cały prawie teatr Brechta, jest inspirowany przez określony gatunek literacki — przez moralitet. Z założenia moralitetu wywodzi się większość jego sztuk, a więc między innymi i „Mutter Courage”, i „Dobry człowiek z Sezuuanu”, a wiele innych dramatów jedno i wieloaktowych. Najbardziej zaś znaną cechą moralitetu jest, jak się wydaje, dążenie, by czytelnikowi czy widzowi nie zostawić wątpliwości co do dobre, a co złe, co ocenić, a co odrzucić. Na tej zasadzie (choć trzeba oczywiście pamiętać, że to tylko główna zasada konstruująca, wokół której zgromadzone jest całe bogactwo właściwych Brechtowi środków wyrazu) budowane są wszystkie prawie dramaty brechtowskie. Ta zasada triumfuje w „Strachu i nadziei III Reżymu” i w „Puntilla i jego sluga”. Jeśli „Pan Puntilla” i jego sluga” od tej zasady w pewnym stopniu odstępowały to tylko dlatego, że terenem, na którym rozgrywa się konflikt wartości jest nie tyle działanie różnych postaci dramatu, ile samo działanie głównego bohatera. To pan Puntilla dostarcza Brechtowi sposobności do rozważań nad słusnością poczynań. Raz Pan Puntilla — posiadacz, a raz Pan Puntilla — człowiek. Granica między tymi dwoma zapelnia różnymi mentalnościami czy świadomością jest u Brechta zarysowana dość ostro i dzięki niej ostateczne odczytanie sztuki musi być jednoznaczne. Nie może być wątpliwość, że człowiek, który odzywa się w panu Puntilli po wodce nie pozostaje w żadnym związku z posiadaczem, który działa na trzeźwo. Ale jeśli przyjrzej się dokładniej tekstowi dramatu, łatwo daje się zauważyć, że te dwie role Pana Puntilla nie są proporcjonalnie wyważone: Brecht z większym zamiatowaniem pisat rolę dla Puntilla — ludzkiego pijaka, niż dla Puntilla — nieludzkiego właściciela dziewięćdziesięciu krów i sporego kawałka ziemi w Finlandii. Pierwsza jest rola psychologicznie bogatsza, to jeden z najlepiej napisanych tekstów Brechta, druga zaś rola ma znaczenie nieprzekonywającą. I tu chyba bierze początek telewizyjna interpretacja „Pana Puntilla”, rozdająca ją się nieco z intencjami Brechta. Zamazała ona w pewnym stopniu różnicę między dwoma wcielieniami bohatera (choć oczywiście nie zniwelowała jej zupełnie) wygrywając przede wszystkim ciekawszymi dramatycznymi efektami roli Puntilla w piątkiej euforii. Jaka jest tego konsekwencja?

Sztuka straciła na jednoznaczności. Nie jest jednoznacznym moralitetem. Mniej wyraźnie plętnuje, mniej wyraznie chwali. Zostawia trochę miejsca dla widza, który bez większych trudności zdola ocenić postępowanie bohatera. Brecht zinterpretowany przez Tadeusza Minca nie stracił na wartości. Stał się jedną z cenniejszych pozycji Teatru Telewizji. Interpretacja reżyserska implikowała w spektaklu koncepcję aktorskiej interpretacji roli pana Puntilla. Można się spierać co do pierwszej, ale, jeśli się ją uzna, nie sposób nie przyznać, że Pan Puntilla zagrabany przez Janusza Kłosińskiego był kreacją. Jego rola była najcenniejszym gatunkowo elementem widowiska. Stąd się chyba bierze fakt, że Matti był postacią drugoplanową, bardziej drugoplanową niż w tekście sztuki. Konsekwentnie zrealizowany spektakl w jednym tylko miejscu odstąpił od założonego zamierzenia: skoro zrezygnuje się z moralizowania, po co umieszczać w przedstawieniu (i tak nieco za długim) końcówkę dramatu, która w dość natrętny sposób tłumaczy po czyjej stronie racja?

## Rozmowa z Seweryną Szmaglewską

# ZŁOTY KŁOS

autorskich w szkołach, bibliotekach...

## notatki na marginesie

PAMIĘCI KSAWEREGO DUNIKOWSKIEGO

„Sowiecka Kultura” poświęciła duży artykuł niedawnemu zmarłemu twórcy.

„Siła jego talentu, niezachwiane przekonanie o prawdziwości obranej drogi okazały decydujący wpływ na wielkość polskich rzeźbiarzy i na długo określiły drogę realistycznego rozwoju sztuki polskiej...”

W tym samym numerze znalazł się dłuższe omówienie szopenowskiego koncertu znakomitego pianisty Pawła Sieriebriakowa, jaki odbył się w Leningradzie.

„Szopen Sieriebriakowa jest niezwykłym, zupełnie nie przypominającym Szopena, który zapisał na koncertowej estradzie w ostatnich dziesiątkach lat i słuszenie uchodził za tradycyjnego...”

Powtarzamy: Szopen w wykonaniu Sieriebriakowa jest niezwykłym. Prawdopodobnie odstraszył on pedantów, może wywołał spory na temat stylu wykonania. Takie jednak spory wynikały niejednokrotnie: gdy pojawił się namietny, dramatyczny Szopen Antoniego Rubinsteina, wyszukanie salonowy — Ignacego Paderewskiego, klasycznie opanowany — Józefa Hoffmanna...

Sieriebriakow „pokazał” Szopena nie uniwersalnego i nawet nie całkiem doskonałego. Ale zagral Szopena żywego — człowieka i twórcę o gorącym sercu, niezwykłej fantazji. Poety fortelanu, dającego w przyszłość...”

### SZEKSPIRIANA

Zaczynają już ukazywać się pierwsze jaskółki wydawnicze jubileuszowego Roku Szekspirowskiego. Jedną z nich jest ostatnio wydana w Stanach Zjednoczonych książka pt. „Shakespeare in Europe” p. Osvalda Lewintera, z pochodzenia wiedźnia, obecnie profesora języka angielskiego na Pennsylvania State University. Książka, opatrzona wstępem i bibliografią najważniejszych prac o Szekspirze powstałych w naszym kontynencie, zawiera fragmenty studiów i wypowiedzi wielkich pisarzy o genialnym dramaturgu. Ten świetny areopag komentatorów otwiera Wolter (Wstęp do „Brutus”) a zamyka Jean-Louis Barrault (Szekspir a Francja). Pozostali — w porządku chronologicznym — to: Lessing, Goethe, Schiller, Cha teaubriand, Hegel, Tieck, Stendhal, Manzoni, Grillparzer, Ranke, Heine, Puszkina, Hugo, Turgieniew, Taine, Tolstoj, Bjornson, Rolland, Croce, Hofmannsthal, Ortega y Gasset, Madartaga i Ungaretti. Uderza więc przewaga Niemców co jest z różnych względów zrozumiałe ale niepomniernie więcej niż brak choćby jednego Polaka, np. Wyspiańskiego — Studium o Hamlecie. We wstępie autora znajdujemy jednak dla nas miłe, chociaż bardzo zaskakujące usprawiedliwienie: „Jedno pominięcie boli mnie głęboko. Już po skompletowaniu tekstów dowiedziałem się o istnieniu znakomitego dokumentu w polskiej literaturze krytycznej o Szekspirze autorstwa polskiego poety roman tyzycznego, Adama Mickiewicza pt. O sztuce dramatycznej w Polsce (tytuł napisany po polsku, ale następująco: O sztuce dramatycznej w polsce), choć zatem niewatpliwie o niedokończony i dość blachy artykuł młodzieńczy Mickiewicza napisany po francusku, który powstał prawdopodobnie w Rosji. O Szekspirze Mickiewicz wspomina tu... jednym zdaniem. W dołączonej bibliografii Lewinter cytuje jeden jedyny artykuł o Szekspirze w Polsce (Mickiewicz i Szekspir) umieszczony w pamiętniku Literackim w 1921 roku. Polska szekspirologia liczy już pokazną bibliotekę, wg polskiej interpretacji wystawia się Szekspira w Anglii a cudzoziemcy nadal o tym nie wiedzą.

Czyja to wina?

W. — Czy owa wieś Piotunka z „Prostej drogi Łukasza” jest wsią naprawdę istniejącą? Takie rzeczy interesują czytelników.

S. — Tak, tylko że nazwa autentyczna jest inna; literacką wzięłam od słowa — piotun, gorycz. Mam w tej mojej wsi wielu rówieśników, łączą mnie z nimi niezapomniane przeżycia: wspólna nauka w malutkiej ubogiej szkole, wspólne wyprawy w nieprzebraną dżunglę łąk i pastwisk, nad stawami i mokradłami, wspólne zbieranie cierniowych owoców tarniny i czerwonego głogu i fantastyczne polowania na żaby, w celu racjonalnego „zażabiania” sadzawek i ogrodów. Sporo tego znalazło się na kartkach „Prostej drogi”, zresztą sam Łukasz, potwornie okaleczony, to znana w okolicy postać. Tylko z tą moją podbelchatowską wsią dzieją się dziwne rzeczy; soltys tamtejszy (dawny mistrz od podpowiadania), nie może się od tej pory dobić o światła elektryczne dla tej wsi, nawet do mnie pisat o tym. Sputniki piukają nad ziemią jak czajki nad łąkami Piotunki — a wieczorem w Piotunce podkręca się knoty i dolewa naftę do lamp.

W. — A czy nie kusił ciebie literacki „powrót do ziemi rodzinnej”?

S. — O, jak najbardziej. Nawet próbowałam pierwszą próbę w tym kierunku. Napisałam powieść „Czarne stopy” i natychmiast po jej wyjściu, a zwłaszcza po wpisaniu jej na listę lektur szkolnych, przekonałam się, że polski autor wtedy staje się w pełni autorem, kiedy wydaje książkę dla młodzieży. Dzieci czytają „Czarne stopy”, powieść pełną wesołych przygód harcerskich, potem idą do biblioteki, proszą o „jeszcze jedną książkę tej autorki”, dostają „Dymy nad Birkenau”, czytają i... rozumieją. Jeden z uczniów powiedział mi, że „Dymy nad Birkenau” pozwoliły mu lepiej zrozumieć, kim jest partyzant „Leśne Oko” z „Czarnych stóp”.

W. — A jakże ty wspominasz naszą Łódź, po tylu latach pobytu w Warszawie?

S. — Łódź to jedyne miejsce na ziemi, gdzie mi się świetnie pisało. Nikt mnie wtedy nie znał, nie potrzebował, telefonny nie przerywały mi długich godzin pracy od rana do późnego wieczora.

W. — Pracowałaś wtedy nad „Dymami”?

S. — Tak i wydawało mi się, że jeżeli książka wyjdzie w nakładzie pięciuset egzemplarzy, to mój wysiłek będzie nagrodzony. Dziś po wydaniu kilku książek, pracując nad następnymi, walcząc o spokój godzin pracy, żeby mi ich nie rozszarpały na strzępy zebrania, konferencji, telefonny ludzi, którzy najlepiej wiedzą, gdzie autor powinien być, co powinien robić i z kim życie przegadać — dziś wspominać wiosenną zazielenioną Łódź 1945 roku, jak dobrą, cichą lagunę...

Rozmawiała W. KARCZEWSKA

ka na jednej z najpiękniejszych warszawskich ulic, okna jej gabinetu wychodzą na park Ujazdowski, na wiosnę drą się tam słowiki. Na jej półkach przybyło sporo książek, nie mówiąc o siedmiu wydaniach „Dymów”, krajowych i wielu przekładach na obce języki.

Zadaje Sewerynie Szmaglewskiej pytanie, którego treść znajduje ona zapewne w niejednej recenzji, a skoro już rozmawiamy — pozwólcmy raz wypowiedzieć się pisarce na temat: co myśli o tym, co inni myślą o niej.

W. — Seweryno, wiele twoich książek wyrasta z twoich doświadczeń oświecimskich, niektóre są projekcją oświecimskich czasów na dalsze losy twoich bohaterów. Mówi się przeto nieraz, że jesteś pisarzem jednego tematu, co ogranicza jakoś twoją wyobraźnię i perspektywę na inne ludzkie sora wy. Czy uważasz to za słusne?

S. — „Autor jednego tematu” — to jakieś uproszczenie szufladujące, typowe dla naszej krytyki. Ostatecznie mogę nawet przyjąć to sformułowanie pod warunkiem, że zgodzimy się upatrywać funkcję literatury w jej zajmowaniu się sprawami człowieka: człowieka w sytuacjach wojny, w obliczu śmierci, w obozach koncentracyjnych. Ten gigantyczny temat fascynuje wielu pisarzy, dramaturgów, ale i psychologów, lekarzy, socjologów. Spójrzmy na gotowe już utwory, jak ten „jeden temat” wygląda: „Stalingrad” Pliviera obok „Stalingradu” Niekrasowa, „Niemcy” Kruczkowskiego, „Pamiętnik Anny Frank”, „Caputt” Malaparte, „I boję się snów” Wandy Półtańskiej, „Pamiętnik lekarski z Pawłaka” dra Felicjana Locha, proza Borowskiego — popatrz, ile barw, ile odcieni. Te wszystkie książki są rozdzielane epoką naszego czasu, jakiejś „Boskiej komedii” dwudziestego wieku. Może się ludźcie, ale autorzy tego typu książek, czy chcą, czy nie chcą, stanowią rodzaj międzynarodowego pogotowia antywojennego. Jeżeli moja twórczość zajmuje w tym dziele zbiorowym odrobinę ważkiego miejsca, to jest to wielka zachęta do walki o ludzką świadomość. Zresztą nie należę do rekordzistów, tylko w czterech moich książkach znajdziesz okupację, inne są wolne od tej ponurej sprawy, co nie znaczy, że obiektywne już odejść od tego tematu.

W. — Czy to Oświęcim był dla ciebie pierwszym bodźcem pisarskim?

S. — Ależ skąd, będąc jeszcze w szkole, pisywałam wiersze, felietony, drobne prozy, w latach studenckich była to już tylko proza. Moje młodzieńcze próby wyrosły na gruncie znakomitego prowadzonego języka polskiego w piotrkwskiej szkole przez Aleksandrę Matusiakową, wychowankę Uniwersytetu Jagiellońskiego, słuchaczkę prof. Zenona Klemensiewicza. Posiada ona niezwykły wstrząs Polaków dar żywego słowa i umiejętnością tą hojnie obdarowała całe pokolenie wychowanków piotrkwskiej szkoły. My-

ślę, że gdyby nie zetknięcie się z wojną, z hitleryzmem, pisałabym na pewno książki o treści społecznej, psychologicznej. Ostatecznie przynasz chyba, że nikt nie rozdzieli się z tematem okupacji kwicym w głowie. Zetknięcie się oko w oko z hitleryzmem — zobowiązuje, próba omijania go byłaby objawem tak nieludzkim, że chyba zdumiewającym.

Poza tym cóż — mój sposób pisania wyrósł (i może za długo taki pozostał) z chęci przekazania ludziom szybko i prosto — może zbyt prosto (choć teraz już nie piszę szybko) — tego, co nazywamy doświadczeniem albo tematem okupacyjnym, ale za to — i nie wiem czy to przynosi chwałę autorowi, czy powinno go martwić — moje książki trafiają często do czytelników z odległych małych miast, wsi, z gminnych punktów bibliotecznych, gdzie miesiam sporo wieczorów autorskich. Może to jest sprawa sprawdzalności, realizmu, sprawa prawdziwego zdarzenia, nawijaj to jak chcesz.

W. — Czy te kontakty z twoimi czytelnikami wpływają na twoje zamiary pisarskie? Na sposób pisania?

S. — Na pewno tak. Cały niemal materiał do mikropowieści p. t. „Puste miejsce przy stole” zawdzięcza „długim rozmowom” podczas pobytu na Śląsku. — Jest to może książka trochę przegadana, publicystyczna, ale dość mi bliska, pisana jednym tonem. Bo widzisz jeżeli autor miewa wątpliwości po pierwszej, drugiej czy czwartej książce, to już pod koniec pisania szóstej czy siódmej osaczony jest pytaniami, które sam sobie stawia, które stawiają mu krytycy: znasz to uczucie, kiedy samotne miesiące pisania budzą wątplenia. Ale wówczas odzywa się głos czytelników. Też jesienią właśnie przemówił do mnie głosem czytelników plebisycyt „Złoty Kłosa”...

W. — Co to takiego — ten „Złoty Kłosa”?

S. — To wspaniale pomyślana praca oświatowa, składająca nie tylko do przeczytania dwudziestu wybranych pozycji polskiej literatury współczesnej, lecz i do wypowiedzi na piśmie, która z tych książek najbardziej odpowiada czytelnikowi. W plebisycie tym — wybrany pisarz otrzymuje Złoty Kłosa, Srebrne Kłosey są dla czytelników. Na listę tych dwudziestu książek wpisana jest moja książka „Zapowiada się piękny dzień”, co jest dla mnie wielkim wyróżnieniem.

W. — Przejdźmy teraz do spraw bardziej intymnych i nieco sentymentalnych, które jednak mają ogromny wpływ na kształtowanie się pisarstwa — do twórczych związków z Ziemią Łódzką, z Piotrkowem, to miasto twojej...

S. — „młodości, mojej ulicy Parkowej i związanych z nią przeżyć. Często mówię o Piotrkowie w czasie moich spotkań

kim drugorzędnym. Ale kaprys losu niewatpliwie obdarzył ją szczęściem. Sagan zdobywa sobie popularność tego typu, jaka zazwyczaj przysięga się aktorom filmowym i sportowcom. Mówi się o niej poufale i rodzinnie: „Saganka” — tak jak mówi się o sportowcach i aktorkach. Ale o jakich aktorach? Nie mówi się przecież z intymnym ciepłem i poufałością o Massinie (że tylko w dwóch filmach, czyż to mało?), ale o Bardocie. Nie mówi się o L. Ollivierze, ale o M. Marinim. Przejawia się w tym jakaś ludzka potrzeba osobistego, prywatnego i swojskiego intymnego stosunku do osób publicznych, skądinąd bardzo odległych od naszego codziennego życia. Lubi się je właśnie dlatego, że tak są odległe od naszej prywatnej szarzyzny i monotonii, zaspokajają jakąś tam potrzebę mitu za pośrednictwem prasy i radia, filmu i telewizji.

Służy zaś takiej potrzebie technika reklamy, która stwarza nimb, ożywia zainteresowanie. Trzeba więc, aby osoba reklamowana często się rozwodziła, była bohaterem jakiejś przygody, ot, choćby krakusy samochodowej, aby miała niewinny dziwactwa, spędzała wakacje na lazurówym brzegu albo — jeszcze lepiej na pneumatycznej tratwie z gumy czy plastyku, na śniadanie zjadała tylko jedną rodzinkę zapła na szklankę soku wyciśniętego ze starych żelówek. Albo żeby była wzorem szlachetności i bezinteresowności, czego także jesteśmy pięknie głodni, bo głodni jesteśmy właśnie takich czy-

lnych mitów na co dzień, preparowanych według pewnych schematów i gotyotypów. Najlepiej wiedza o tym chyba Amerykanie. Najmniej nasi krytycy literacy, którzy nie umieją rzeczo wo ustosunkować się do „Matysiaków”.

No cóż, można zawołać: wszystko w porządku, proszę państwa! Zastanawia jednak dlaczego „importujemy”, dla czego nie mamy w tej dziedzinie własnych narodowych ambicji, choć mamy na tuziny pisarzy znacznie lepszych i ciekawszych, a także poczciwszych niż Saganka?

W dodatku przecież i nasi pisarze — choć jakże nieliczni — jedzą samochodami, zdarzają się im krakusy i zatarci i z milicją. I nasi pisarze i dziennikarze spędzają wakacje w górskich szatach albo na tratwach na rodzimych jeziorach mazurskich. I na sze poetki od czasu do czasu „oczekują” na dzieleka, niekiedy się rozwodzą, lub błądzą z rodzinką na śniadanie i sok. Gdyby niektórym z nich poświęcić choć połowę tego miejsca w prasie, które miewa Saganka, można by oczekiwać jeszcze znacznie lepszej popularności. Czemu więc prasa polskiej nie obiegła notatką pod rewelacyjnym tytułem: „Stanisław Dygat nie lubi marynowanych pomidorów”!

Dlaczego właśnie Saganka, a nie Małgorzata Hyzik czy Androna Trypućkówna?

Wbrew pozorom jesteśmy czasem mało ambitalni, mało „honoralni”. A może działa i mechanizm zawiści: jeśli

już kogoś trzeba lansować, to żeby nie był nim ktoś z rodaków?! Przecież i ja, pisząc to słowa, wymieniam tylko jedno autentyczne nazwisko polskie jako propozycję...



## Jan Huszcza? czemu nie swoi!

I znowu w naszej prasie coś o Françoise Sagani! Nie w związku z jej powieściami. Tych u nas od dawna się nie wznawia, a nowych nie tłumaczy. Nie w związku ze sztukami, bo te są dostępne tylko pewnym kręgom widzów teatralnych. Ostatnio pisano o tym, że wpadła w nowe tarapaty finansowe czy też erotyczne.

Na wszelki wypadek przypomnijmy sobie, kim jest pani Sagan. Jest niewatpliwie pewnego rodzaju fenomenem: młoda dziewczyna zaczęła od małych książeczek, mikropowieści, którymi zdobyła sobie z miejsca popularność nie tylko w kraju ożycystym. Została reprezentantką jeszcze jednego „gorzkiego pokolenia”, jego artystyczno-filozoficzno-literackim wyrazem. Jednak ocena jej twórczości jest od początku sprzeczna. Wydaje się, iż reprezentuje pewną umiędzynarodowienie, ale nie najwyższej klasy. Pewna filozofia, ale właśnie jakże uboga. Jest więc w sumie zjawiskiem literackim drugorzędnym. Ale kaprys losu niewatpliwie obdarzył ją szczęściem. Sagan zdobywa sobie popularność tego typu, jaka zazwyczaj przysięga się aktorom filmowym i sportowcom. Mówi się o niej poufale i rodzinnie: „Saganka” — tak jak mówi się o sportowcach i aktorkach. Ale o jakich aktorach? Nie mówi się przecież z intymnym ciepłem i poufałością o Massinie (że tylko w dwóch filmach, czyż to mało?), ale o Bardocie. Nie mówi się o L. Ollivierze, ale o M. Marinim. Przejawia się w tym jakaś ludzka potrzeba osobistego, prywatnego i swojskiego intymnego stosunku do osób publicznych, skądinąd bardzo odległych od naszego codziennego życia. Lubi się je właśnie dlatego, że tak są odległe od naszej prywatnej szarzyzny i monotonii, zaspokajają jakąś tam potrzebę mitu za pośrednictwem prasy i radia, filmu i telewizji.





NOWY MODEL

„Jasność i cień”, tak nazywa się artykuł Stefana Żółkiewskiego, opublikowany w ostatnim numerze „Życia Literackiego”...

świata, prezentowany przez literaturę, i model literatury, i model bohatera: „W centrum uwagi pozostaje problem autentyzacji człowieka...”

Ambicje porządkujące Żółkiewskiego dotyczą także poezji. Również i w tym wypadku model zaledwie jest obrysowany...



to model nie przystawał ani do naszych doświadczeń, ani do rzeczywistego obrazu literatury tamtych lat...

przez całe dwudziestolecie. I znajdują swoją kontynuację w latach ostatniej wojny. I w latach powojennych...

JUBILEUSZ?

„Wiadomości Literackie” ukazywały się przez piętnaście lat i osiem miesięcy. Od stycznia roku 1924 do września roku 1939...

Boiteau

fraszki jana Czarnego NIE BROŃ... Nie broń swini przed swinią, bo obie ci obwinia. KLASYCY Wiecznym piórem nie pisali, lecz na wieki pozostali.

W KRĘGU RODZINY

W Zakładach im. Armii Ludowej opowiada mi niedawno następującą historię. Pewien człowiek, posunięty w latach ale zażywny i do miłości skory...

jest w toku załatwiania, dziećmi zaopiekuje się zapewne kto inny, a ojciec-tyran winien ponieść zasłużoną karę.

Ale rzecz w tym, że właśnie najczęściej nikt z sąsiadów na to nie reagował, choć wszyscy wiedzieli, co się w jego domu dzieje...

Zwraca uwagę fakt, że wiele z tych prac konkursowych odznacza się żywością ujęcia, dobrym językiem literackim i temperamentem publicystycznym.

terach. Redaktorzy książki, Mirosława Parzyńska i Irena Tarłowska, szczerze postąpił, przedstawiając opisy sytuacji dramatycznych i konfliktowych...

Druga wartość zebrań w książce wypowiedzi jest ich autentyczność. Prawda opisanych zdarzeń i perypetii rodzinnych narzuca się z nieodpartą siłą.

Książkę zamyka posłowie znanego socjologa, Antoniego Kłoskowskiej, próbujące określić naukowo-badawczą stronę zgrupowanego materiału.

Jan Kąkolowski

Notatnik kulturalny 24. II. - 1. III. PONIEDZIAŁEK Co się kryje za faktem, że na odczyt znakomitego socjologa przychodzi 25 osób... WTOREK Prasa informując o filmie „Kandyd”... ŚRODA Kubaś Puchatek szukając kłody swego przyjaciela Prosiaczka... CZWARTEK Wiele czytałem publikacji na temat kultury masowej... PIĄTEK „Biała Fabryka”... SOBOTA Nie przypuszczaliśmy, że fotografia artystyczna ma tytuł zwolenników... NIEDZIELA Ktoś napisał kiedyś fraszkę „Lódzka wiosna”...



## bestsellery tygodnia

### FILM

WŁÓKNIARZ — „Pechowiec na prerii” : : : 17.513 widzów  
POLONIA — „Julio, jesteś czarująca” : : : 12.882

### TEATR

**JARACZA** — „W pustyni i w puszczy” (2 spektakle) : : : : : 1.400 widzów 100 %  
— „Nagi król” : : : : : 1.200 „ 58 % (3 spektakle)

**POWSZECHNY** — „Jaśnie Pan Nikt” : : : : : 1.720 „ 40 % (3 spektakle)  
„Kataki” : : : : : 1.060 „ 85 % (2 spektakle)

**NOWY** — „Maria Stuart” : : : : : 1.800 „ 70 % (3 spektakle)  
„Most” : : : : : 1.300 „ 40 % (4 spektakle)

**RTS** — „Lekarz mimo woli” : : : : : 3.570 „ 83 % (10 spektakli)

**OPERA** — „Verbum Nobile” : : : : : 1.410 „ 99 % (2 spektakle)

**OPERETKA** — „Cancan” : : : : : 4.540 „ 94 % (7 spektakli)

Aby nasza rubryka dawała pełniejszy obraz — podajemy także przeciętną frekwencję na poszczególnych sztukach. Cyfry procentowe oznaczają właśnie procent widzów w stosunku do ilości miejsc na widowni.

## Warto bejrzec

### TYDZIEŃ W KINIE

Po udanym debiucie reżyser-  
skim czołowego polskiego scenarzysty Jerzego Stefana Stawińskiego, „Rozwodów nie będzie”, film Jerzego Passendorfera „SKAPANI W OGNIU” jest utworem dojrzałego filmowca, który ostatnio dość często sięga do tematów „pierwszych dni” po wyzwoleniu. Passendorfer przypomina o mało znanym „pobohaterskim” okresie na Ziemiach Zachodnich, kiedy jednakowo potrzebne były: poświęcenie i bohaterstwo obok optymizmu i ludzkiej żywotności.

## Warto posłuchać

Andrzej Markowski, pierwszy dyrygent Filharmonii Krakowskiej, zapalony interpretator muzyki nowoczesnej, ma na swoim koncie występy i sukcesy na festiwalach muzyki współczesnej w Warszawie, Darmstadt, Baden-Baden, Palermo i Wenecji. Nie znaczy to oczywiście, że uprawia wyłącznie repertuar muzyki XX wieku. Kiedy jednak sięga do muzyki wieków minionych wybiera prawdziwe arcydzieła.

## Warto bejrzec

### TV

W zeszłotygodniowych zapowiedziach telewizyjnych zdarzyły się nam dwa niewypały. Biłemy się więc w pierś... — oczywiście, że w pierś, w niewypały uderzać nie należy. Po części jednak przewidzieliśmy słusznie: teatr poniedziałkowy zaprezentował powtórkę tytułu, że nie to, która była planowana poprzednio („Hotel Astoria” Szejna zamiast „Wielkich zatłotów” Shawa).  
Drugi nasz niewypał dotyczył Studia 63 i był dość dużego kalibru, bo pomijał je-

Wojcich Zukrowski, który napisał scenariusz filmu, odstąpił nieco od pierwotnego literackiego swego powieści, eksponując codzienną działalność żołnierzy podejmujących pierwsze, trudne zadanie budowania polskiej państwowości na ziemiach nad Odrą. Reżyser poprowadził dwa zasadnicze, łączące się wątki — sensacyjno-polityczny i liryczny. Bardzo dobrze naszkicowane postacie, dobrze zagrane przez Irenę Laskowską, Beatę Tyszkiewicz, Stanisława Mikulskiego, Wojciecha Siemiona i Aleksandra Fogia; bardzo interesujące zdjęcia Antoniego Nurzyńskiego uzupełniają sprawny reżyserii Passendorfera — twórcy chętnie biorącego na swój warsztat tematy przemian ideologiczno-

Tak też postąpił zestawiając program swych gościnnych koncertów w Filharmonii Łódzkiej (8 i 13.III.1964) z następujących pozycji: symfonia g-moll (K. V. 550) W. A. Mozarta, koncert fortepianowy d-moll J. S. Bacha i Scherzo a la russe I. Strawińskiego.

17.11.1964, 27 czerwca 1966...  
Ze tak się sprawy układają, że nie może Pan spełnić mego życzenia i podtrzyma mnie materiałnie, to bardzo mnie trapi! — Jestem w takim położeniu, że koniecznie muszę pozyczyć pieniądze...” — z listu Mozarta do przyjaciela Michała Puchberga.

Kłopoty z powodu zaległego komornego, śmierdzącego dziecka, choroby żony Konstancji, pracowanie i przynębianie, to znane szczegóły tego okresu życia Mozarta. Nie wiemy na-

dno nazwisko znaną na korzyść dwóch mniej znanych. Ufamy jednak w wyrozumiałość serce nowego kierownika artystycznego Łódzkiej Telewizji, Ireneusza Kanińskiego — to on bowiem reżyserował wczorajszy (4.III) „Punkt zwrotny” Studia. I zapowiedzmy od razu, że w niedzielę, 8 marca, reżyseruje według scenariusza Zofii Widorskiej widowisko „Jakże wystawie twe imię” (w telewizyjnym planie programowym opatrzone etykietką „inscenizacja muzyczna”), udział m. in. biorą laureatka Złotej Szpilki „Dziennika Łódzkiego”, Urszula Modrzyńska, rektor PWSM, prof. Kiejstus Bacewicz i Jan Zdrojewski, który debiutował niedawno w telewizji rolą tytułową w „Rozbojniku” Karola Capka. Orkiestrą Filharmonii Łódzkiej dyryguje (uwaga) pani Maria Tunicka.

Spektakl teatralny mamy w tym tygodniu tylko jeden, za to sztuki znakomitej i prawdziwie współczesnej. W por-



Józef Nemeth, czołowy fotografik węgierski, wystawia swe prace w lokalu przy ul. Andrzeja Struga

ustrojowych. Nie bez przyczyny za omawiany film jego twórcy otrzymali z okazji XX-lecia Wojska Polskiego nagrodę ministra obrony narodowej.

Z pozycji zagranicznych aktualnego repertuaru warto obejrzenia są „KLIMATY” według znanej powieści Andre Mauroisa, zrealizowane przez debiutującego, młodego reżysera francuskiej telewizji Stello Lorenziego. Akcja „Klimatów” została uwspółcześniona. Wydobyto z powieści Maurois przede wszystkim te wątki, które posłużyły do zbudowania płynnej i dynamicznej akcji. Niestety, zrezygnował Lorenz z tego, czym głównie „Klimaty” odznaczały się — zabrał do filmu świetnie naszkicowanego w powieści klimatu nastrojów. Powstał więc tylko sprawnie filmowy melodramat ze świetną Emanuelle Riva, znaną u nas z „Hiroszimy” Resnais i tym razem interes-

ującą aktorką Mariną Vlady w roli Odylli.

Kluczem filmowym można bez wahania określić to, co zrealizował znany specjalista od „serc i szpad” — Andre Hunebelle. „TAJEMNICE PARYŻA”, to kapiący od łez i koloru na szerokim ekranie melodramat zrobiony, co prawda z rzemieślniczym zacięciem, ale bez jakiegokolwiek ambicji artystycznych. Szczyty aktorskiego wyglądania osiąga w tym filmie drugi specjalista od „serc i szpady” — Jean Marais, którego niewiele może pomóc sympatyczna z innych filmów Dany Robin.

Centrala Wynajmu Filmów nie potrzebuje się jednak martwić o frekwencję nie tylko „Ta-

jemnic Paryża”, ale także „KRZYKU STRACHU”, który zrealizował przed trzema laty w Anglii Seth Holt. Tajemnicza historia katekiej, młodej dziewczyny, która po dziesięciu latach nieobecności powraca do bogatego ojca, jest na tyle zagmatwana, ażeby w końcu nawet bardzo ciekawie został rozsuplana. Realizator zastosował wszelkie „najmocniejsze” chwytły i pomysły, dość sprawnie je uruchamiając w całej niezbyt ambitnej maszynerii filmowego kryminału, ścigającego do kln wszystkich zacheconych intrygującymi podtytułami ostrzegającym ludzi o słabych nerwach przed oglądaniem „Krzyku strachu”.

A. N.

tomista nie o genezie trzech arcydzieł napisanych w ciągu kilku zaledwie tygodni lata 1788, wielkiej trylogii symfonicznej: symfoni Es-dur, g-moll i C-dur (Jowiszowej). Ostatnie symfonie Mozarta, szczyty symfoniki klasycznej.

Dzieło klasyczne jest piękne, dzięki swemu ujązłonemu romantyzmowi (Andre Gide). Symfonia g-moll najbardziej może ze wszystkich dzieł Mozarta przepojona jest nową, romantyczną treścią, chociaż fałszywie ujęte są tu w karbie surowej dyscypliny formalnej. Bo muzyka, choćby najbardziej wstrząsająca powinna i wtedy jeszcze cieszyć ucho i radować się słowem — słowem pozostaje zawsze muzyką (Mozart).

Prawie wszystkie koncerty

forteplanowe Bacha powstały jako przeróbki koncertów skrzypcowych. Wzorował się na koncertach skrzypcowych Vivaldiego. Ich zasadą formalną było dialogowanie instrumentu solowego z orkiestrowym tutti. Bach wzbogacił znacznie fakturę orkiestrową, wprowadzając do niej elementy pracy motywu i imitacji.

Z 13 fortepianowych koncertów Bacha 7 skomponowanych jest na jeden fortepian, 3 na dwa fortepiany i 3 na trzy fortepiany. Najbardziej znany i najchętniej grywany jest właśnie koncert d-moll. Jego wykonawcą na omawianym koncercie będzie znany pianista Zbigniew Szymonowicz.

Ciekawym szczegółem z życia i twórczości Igora Strawińskiego jest to, że mieszkając wiele lat w Hollywood nie skomponował nigdy muzyki do filmu. Każda propozycja kończyła się zwykle tym, że kompozytor oglądał obraz L... — edwarda producentom wykorzystanie jakiegokolwiek muzyki, która, jego zdaniem, mogłaby tylko zepsuć film. Jedyna próba napisania muzyki do filmu o tematyce wojennej skończyła się tym, że kompozytor wycofał się z produkcji i swe skice opracował w formie utworu koncertowego dla orkiestry Paula Whittemana. Taka była genesza Scherza a la russe, wykonanego po raz pierwszy w San Francisco w marcu 1948 r. 6 marca 1964 roku odebrze się jego prawykonywanie w Filharmonii Łódzkiej.

Z. GZELA

Mań Casares, ze ściesznością krtańnią czytała o Warszawie — „zawsze tej samej”.

Wróćmy do tego, co warto zobaczyć. Ciekawie wygląda pogodzinny dokument kanadyjski „Sufrażystki”, program rozrywkowy „Piosenki z walizki” w reżyserii Kazimierza Oracza i teleturniej „Wszystko o kobiecie”, w którym mogą uczestniczyć tylko mężczyźni. Wszystkie trzy programy w niedzielę, 8 marca.

Wróćmy do tego, co warto zobaczyć. Ciekawie wygląda pogodzinny dokument kanadyjski „Sufrażystki”, program rozrywkowy „Piosenki z walizki” w reżyserii Kazimierza Oracza i teleturniej „Wszystko o kobiecie”, w którym mogą uczestniczyć tylko mężczyźni. Wszystkie trzy programy w niedzielę, 8 marca.

Redaguje Zespół — Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka” — Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 86. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 4; kwartalnie zł 12. Redakcja nie zamawia rękopisów nie zwraca. — Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPIK „Ruch” — z zaznaczeniem: na „Ogłoszy”.  
Druk: RSW „Prasa” — Łódź, Zwirki 17.

Zam. 664 III. 64 P-13



### VI-PIERWSZE POKOLENIE JAZZU

Na przełomie XIX i XX wieku Nowy Orlean był ruchliwym skrzyżowaniem dróg i szlaków romantycznych ludzi i kultur. Nastrojowością będący wynikiem „prosperity” tego wielkiego miasta, stosunkowy liberalizm w sprawach rasowych, wynikający z ciągłego żywych francuskich tradycji, przyciągał przez całe stulecie wędrownych śpiewaków i muzyków. Z biegiem czasu zbieżność muzyki z kulturą instrumentów: opanowywali umiejętność zbiorowego, zespołowego muzykowania. Liczne dete kapele i orkiestry składowe instrumentów i brzmieniem granych melodii zbliżone do pierwotnych — wojskowych orkiestr z lat wojny domowej — były zjawiskiem codziennym i nieodzownym dla uświetnienia zarówno zabaw, wesel, pikników, pochodów karnawałowych, jak i ceremonii pogrzebowych. Kornet Murzyna przewodzący muzycznemu dialogowi, w którym uczestniczyli także klarnet i puzon, rozbrzmiewał w podłej, zadymionej speluncie, zwoływał na tańce do parku Lincolna i intonował nostalgicznego bluesa w drodze na ementarz. Zarówno wtedy, gdy chowano czarnego dokera z portu, jak i wówczas, gdy odbywały się ceremonie pogrzebowe zamordowanego przez rasistę-fanatyka prezydenta Stanów Zjednoczonych (1871 — J. A. Garfield).

Pierwszym z wielkich muzyków jazzowych końca XIX wieku, muzyków, o których dotarli do naszych czasów liczne relacje i legendy, był urodzony w 1868 roku Charles „Buddy” Bolden. Jako dziecko zetknął się z muzyką w jednej z licznych nowoorszańskich kongregacji religijnych. Mając lat 15; porzucał wykonywane dotychczas zawód tryzjera i założyl orkiestrę, której liderem grając na kornecie. Dzięki jego instrumentu był tak potężny, że „...gdy Bolden zadął w spokojna noc podczas tańców w parku Lincolna, to wszyscy w promieniu 10 lub 12 mił widzeli, że to „Buddy” gra...” (Jelly Roll Morton).

„Buddy” Bolden; pierwszy z muzyków obdarzonych przez entuzjastów zaszczytnym przydomkiem „king” — „król”, był przez siedem lat bezspornym instrumentalistą — championem Nowego Orleanu. Niestety, gwiazda jego zgasła równie szybko, jak zabyła. W 1907 roku, kiedy miał 29 lat, grając podczas ulicznej parady, uległ atakowi szału, po którym przewieziono go do szpitala, gdzie w obłąkaniu żył jeszcze 24 lata. Nie pozostało po nim ani jedno nagranie, a jego osoba i gra do dzisiaj są tematem wielu diametralnie różnych opinii i opowieści i legend.

W cieniu sławy „Buddy” Boldena wyrastał późniejszy mistrzowie jazzu, wśród których znajdujemy także nazwiska, jak „King” Oliver, Luis Armstrong czy Sidney Bechet. Oni i im podobni stanowili pierwsze pokolenie jazzu. Uprawiana przez nich muzyka zawierała zapowiedź tego wszystkiego, co miało nadejść.

ANDRZEJ KRÓLIKOWSKI

Rzeczywiście, w tę niedzielę Dzień Kobiet. Stąd taki teleturniej, stąd te sufrażystki, ladażnice i w wigilii święta film „Agnieszka wśród gangsterów”. Z całą powagą do problemu Dnia Kobiet odnosi się w tym roku jedynie telewizja moskiewska, z którą — na program pt. „Dla was, kobiety” — nasza połączy się w sobotę, 7 marca.  
J. M.